



Merline Lovelace



***Przygodni
kochankowie***

PROLOG

„Nie mogłabym wymarzyć dwóch piękniejszych, bardziej kochających wnuczek. Odkąd zamieszkały ze mną, moje serce przepelnia radość. Dziś, za kilka godzin, Sara poślubi Deva. Nie posiadam się ze szczęścia.

Martwię się natomiast o jej młodszą siostrę. Eugenia, która promiennym uśmiechem każdemu potrafi poprawić humor, wiodła dotąd beztroskie życie. Niestety to się skończyło; teraz musi stawić czoło rzeczywistości i mam jedynie nadzieję, że podoła zadaniu.

Ale dość tego. Muszę szykować się na ślub, a potem jechać do hotelu Plaza, miejsca tylu ważnych wydarzeń w moim życiu”.

Z pamiętnika Charlotte,
Wielkiej Księżnej Karlenburgha

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gina St. Sebastian uśmiechem pokryła irytację.

- Jakiś ty uparty, Jack.

- Ja? - Ambasador John Harris Mason III, szczupły opalony szatyn mierzący ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, lubił nad wszystkim mieć kontrolę. Denerwowało go, kiedy coś szło nie po jego myśli. - Jesteś w ciąży, ze mną, a nawet nie chcesz słyszeć o małżeństwie.

- Głośniej. Niech wszyscy się dowiedzą. - Gina zerknęła na donice z kwiatami, za którymi skryli się przed wzrokiem gości.

Znajdowali się w Terrace Room słynnego nowojorskiego hotelu Plaza. W tej pięknej sali z sufitem w stylu włoskiego renesansu z kryształowymi żyrandolami przypominającymi te w Wersalu wiele par złożyło przysięgę małżeńską.

Wesele Sary i Deva przygotowano w rekordowym czasie dwóch tygodni. Majątek pana młodego niewątpliwie wszystko ułatwił, pomógł również cudotwórca, którego Dev Hunter zatrudnił jako swojego asystenta. Ale to Gina zaplanowała uroczystość i nie zamierzała pozwolić, aby facet, z którym spędziła jeden szalony weekend, cokolwiek zakłócił.

Na szczęście nikt ich nie słyszał. Zespół muzyczny grał, nowożeńcy i goście wirowali po parkiecie. Gina przeniosła spojrzenie z tancerzy na ubraną w koronki, dumnie wyprostowaną kobietę z dłońmi opartymi o uchwyt hebanowej laski. Uff! Księżna była poza zasięgiem słuchu.

- Nie mieliśmy okazji porozmawiać od twojego powrotu ze Szwajcarii - rzekł Jack, zniżając głos.

Wyleciała do Szwajcarii dzień po tym, jak na teście ciążowym zobaczyła dwie kreski. Po prostu musiała uciec z Los Angeles, pooddychać świeżym alpejskim powietrzem, przemyśleć wszystko. Po dwudziestu czterech godzinach podjęła decyzję i udała się do nowoczesnej kliniki w Lucernie. Dziesięć minut później opuściła ją. Wcześniej, spanikowana, zadzwoniła do siostry, a potem do seksownego dyplomaty, który teraz stał naprzeciwko niej.

Zanim Sara doleciała z Paryża, Gina zdołała się opanować. Jej spokój jednak prysł, gdy w Lucernie pojawił się Jack. Nie spodziewała się ani jego przyjazdu, ani tego, że ucieszy się z jej decyzji o urodzeniu dziecka.

Prawdę rzekłszy, sama była zaskoczona. Uchodziła za osobę lekkomyślną; uwielbiała weekendowe wypadki do Biarritz i pływanie jachtem po Morzu Karaibskim. Księżna starała się zapewnić wnuczkom dostatnie życie. Dopiero niedawno dowiedziały się, ile to ją kosztowało.

Od tej pory Gina postanowiła sama zarabiać na swoje utrzymanie.

Niestety zajęcia, których się miała, szybko ją nużyły. Praca modelki okazała się beznadziejna. Denerwowały ją nagrzane reflektory i kapryśni fotograficy. Towarzystwo małym grupom turystów w podróżach po europejskich stolicach, kiedy stale musiała szukać zaginionych bagaży albo załatwiać zmianę pokoju, bo komuś akurat nie podobał się widok z okna, też jej nie wciągnęło.

Po kursie gotowania w słynnej włoskiej akademii kulinarnej zatrudniła się w restauracji. Wytrwała tydzień. Kiedy zniecierpliwiony szef przeniósł ją z kuchni do biura, nagle odkryła, że jest dobra w planowaniu przyjęć.

I właśnie z tego zamierzała się utrzymać: z urządzania imprez dla sławnych i bogatych. Najpierw jednak musiała przekonać Jacka, że nie interesuje jej małżeństwo.

- Doceniam twoją troskę, ale...

- Troskę? - Nie podniósł głosu, ale sprawiał wrażenie, jakby z trudem nad sobą panował.

Sześć tygodni temu ich spojrzenia spotkały się nad głowami ludzi w zatłoczonej sali konferencyjnej. Powietrze stało się naelektryzowane. A potem...

Och, przestań! Zapomnij o tym, co się wydarzyło. O ogniu, o pocałunkach. To się nie powtórzy.

- Ale chyba sam musisz przyznać - ciągnęła z wymuszonym uśmiechem - że to nie jest odpowiedni czas ani miejsce na taką rozmowę.

- Więc wyznacz czas i miejsce - zażądał.

- W porządku. - Westchnęła. - Jutro w południe. W Boathouse w Parku Centralnym.

- Doskonale.

- Poprosimy o stolik w ustronnym kąciku i porozmawiamy jak dwoje dojrzałych ludzi.

Dojrzałych? Do tej pory wiodła lekkie przyjemne życie. Jeśli wpadała w tarapaty, wiedziała, że babka lub Sara ją z nich wyciągną. Wszystko zmieniło się dziesięć minut po wykonaniu testu ciążowego.

Nie próbował jej zatrzymać. Miała rację: to nie był odpowiedni czas ani miejsce. Nie bardzo jednak wierzył, że jutro jego racjonalne argumenty trafią jej do przekonania.

Spędził w sumie pięć dni w towarzystwie Giny: jeden długi zwariowany weekend i dwa dni w Szwajcarii. Wiedział, że jest pełna sprzeczności: czasem wyniosła, zmysłowa, a czasem ciepła, zabawna, do rany przyłóż. Doskonale wykształcona, a zarazem dziecięco naiwna. Nie interesowała jej polityka, chyba że jakieś wydarzenie miało bezpośredni wpływ na nią, siostrę lub babkę.

Stanowiła jego przeciwieństwo. On pochodził z rodziny, która dawno temu zapaściła korzenie w Wirginii i uważała, że wielkie bogactwo wiąże się z równie wielką odpowiedzialnością. W chwilach kryzysu ojciec i dziadek byli doradcami prezydentów. On sam był na kilku placówkach dyplomatycznych, zanim w wieku trzydziestu dwóch lat został ambasadorem przy Departamencie Stanu. Wyjeżdżał do najbardziej niespokojnych miejsc na świecie. Niedawno wrócił do Waszyngtonu i korzystając z doświadczenia, ulepszał procedury zwiększające bezpieczeństwo dyplomatów amerykańskich na świecie.

W pracy spędzał długie godziny, często stres dawał mu się we znaki, ale nie pamiętał, aby ktokolwiek wywołał w nim większą frustrację niż Gina. Psiakrew, ona nosi jego dziecko, któremu zamierzał dać nazwisko. Dziecko, o które tak bardzo starali się z Catherine...

Przeszył go znajomy ból, już nie tak ostry jak dawniej, ale wciąż piekący. Wszystko wokół stało się zamazane, rozmowy ucichły. Niemal ją widział, niemal słyszał jej głos. Catherine, mądra, mająca doskonale rozeznanie polityczne, dojrzałaby ironię losu. Powiedziałyby...

- Napijesz się, Mason?

Ogromnym wysiłkiem woli wymazał sprzed oczu obraz zmarłej żony i odwrócił się do nowożeńca. Dev Hunter wyciągnął w jego stronę szklankę whisky.

- Widziałem, jak rozmawiasz z Giną i uznałem, że przyda ci się łyk szkockiej.

- Słusznie uznałeś. Dziękuję.

- Za siostry St. Sebastian - powiedział Dev, spoglądając na pogrążone w rozmowie kobiety. - Trochę się nabiegałem, ale w końcu doprowadziłem Sarę do ołtarza. Może tobie też się uda.

Podnosząc szklankę do ust, Jack również popatrzył na siostry. Szczupła ciemnowłosa Sara w eleganckiej sukni promieniała blaskiem właściwym dla panny młodej. Jasnowłosa, pełna życia Gina, której ciało jeszcze nie zdradzało oznak ciąży, była nieco hojniej od siostry obdarzona przez naturę. Ognista, dopasowana do figury suknia z wycięciem na plecach podkreślała jej zmysłowe kształty.

Jack odruchowo zacisnął palce na szklance. Choć minęło sześć tygodni, wciąż pamiętał te jedwabiste włosy, niebieskie oczy i ponętne krągłości. Zużyli całe opakowanie prezerwatyw, ale los spletał im figła.

- Uda się. Na bank.

Dev Hunter zamierzał coś powiedzieć, ale w tym momencie żona przywołała go palcem.

- Pogadamy, jak wrócę z podróży poślubnej. - Przechodzącemu kelnerowi oddał pustą szklankę, zrobił krok w stronę żony, po czym przystanął. - Gina ma w sobie wiele z księżnej, a skoro o wilku mowa...

Nagle Jack ujrzał zbliżającą się drobną siwowłosą matronę w koronkowej sukni z długimi rękawami. Kilka pierścieni zdobiło jej dotknięte artretyzmem palce. Opierając się na lasce, Charlotte skinęła na Deva.

- Gina mówi, że powinniście się z Sarą przebrać. Za godzinę wylatujecie.

- To mój samolot, Charlotte. Bez nas nie polecą.

- Zostaw nas, Devonie. Chcę zamienić słowo z ambasadorem Masonem.

Jack instynktownie się wyprostował. Znał życiorys księżnej, wygrzebał wszystko, co Departament Stanu miał na jej temat. Charlotte St. Sebastian, Wielka Księżna Karlenburgha, opuściła swój kraj ponad pół wieku temu, gdy rządy przejęli komuniści. Po brutalnej egzekucji męża uciekła z małą córeczką i klejnotami wartymi fortunę, które ukryła w pluszowym misiu. Zamieszkała w Nowym Jorku, należała do elity towarzyskiej i literackiej miasta. Niewielu jej bogatych przyjaciół miało świadomość, że ta dumna arystokratka od lat wyprzedaje biżuterię, aby utrzymać siebie oraz wnuczki, którymi opiekuje się od tragicznej śmierci ich rodziców.

- Przed chwilą rozmawiałam z Giną - oznajmiła starsza dama. - Podobno wciąż nalega pan na małżeństwo?

- To prawda.

- Dlaczego?

Korciło go, aby zacytować Ginę i powiedzieć, że nie jest to odpowiedni czas ani miejsce na takie rozmowy, ale harde spojrzenie księżnej przywołało go do porządku.

- To chyba oczywiste. Gina jest w ciąży. Ze mną. Pragnę jej i dziecku ofiarować swoje nazwisko.

- Ma pan zastrzeżenia do nazwiska St. Sebastian? - spytała chłodno księżna.

Cholera! I on uważał się za dyplomatę? Księżna uniosła laskę i trąciła go nią w pierś.

- Naprawdę pan wierzy, że dziecko jest jego?

- Absolutnie. - Nawet się nie zawahał.

- Dlaczego? - Księżna ponownie dźgnęła go w pierś.

Z dwóch powodów, ale o jednym Jack nie zamierzał mówić. Jego ojciec na wieść, że zostanie dziadkiem, wynajął detektywa. Ten skrupulatnie przeszedł ostatnie trzy miesiące życia Giny. Z raportu, jaki złożył, wynikało, że często zmienia pracę i prowadzi bujne życie towarzyskie, ale jedynym mężczyzną, z jakim spała w tym czasie, był John Harris Mason III.

Jack z wściekłością poinformował ojca, że niepotrzebnie się trudził. Wiedział, że dziecko jest jego, od-
kąd zapłakana Gina zadzwoniła ze Szwajcarii. Teraz to samo usiłował powiedzieć księżnej.

- W trakcie naszej krótkiej znajomości, księżno, odkryłem, że Gina ma kilka wad. Ja również, jednak nie próbowaliśmy ich ukryć.

- Innymi słowy, nie przysięgaliście sobie miłości czy wierności, zanim wskoczyliście do łóżka?

Na to pytanie Jack wolał nie odpowiadać.

- Jak wspominałem, nie znam Giny dobrze, ale mam głębokie przeświadczenie, że brzydzi się kłamstwem.

Odetchnął z ulgą, kiedy księżna opuściła laskę.

- To prawda, Gina nie kłamie. - Po twarzy księżnej przebiegł cień niezadowolenia. - Nawet jest zbyt szczerą. Co w sercu, to na języku.

- Zauważyłem.

Właśnie to, oprócz fantastycznego ciała, tak bardzo mu się spodobało: energia, entuzjazm, naturalność. W tamten weekend cudownie się zrelaksował. Oczywiście w Waszyngtonie, gdzie kryzys goni kryzys, stres natchmiast wrócił.

- Dla mnie liczy się wyłącznie szczęście mojej wnuczki - oznajmiła księżna. - Cokolwiek Eugenia postanowi, będzie miała moje poparcie.

- To zrozumiałe.

Charlotte przyjrzała mu się uważnie.

- Znałam pańskiego dziadka - rzekła ni stąd, ni zowąd. - Był wtedy członkiem gabinetu prezydenta Kennedy'ego. Straszny zarozumialec i sztywniak.

- Cały on - odparł Jack z uśmiechem.

- Zaprosiłam jego i pańską babkę na przyjęcie, które wydawałam tu, w Plazie, z okazji przyjazdu sultana Omanu. Przyszli państwo Kennedy. I Rockefellerowie. - W kącikach jej ust błąkał się uśmiech. - Włożyłam perły.

Trzy razy owinęłam je wokół szyi, a i tak sięgały mi niemal do brzucha. Jackie aż zzieleniała z zazdrości.

Nie wątpił. Przyglądając się kulturalnej starszej pani, miał nadzieję, że małżeństwo z jej wnuczką nie okaże się porażką. Parę lekcji powinno wystarczyć, aby Gina nauczyła się dyplomacji. Nie chciał jej zmieniać, broń Boże, jedynie lekko ją utemperować.

Utemperować, lecz nie w łóżku. Znów przypomniał sobie tamten weekend. Od śmierci żony nie żył jak mnich, ale i nie szalał. Pięć kobiet w ciągu sześciu lat nie stanowiło rekordu. Jednak dzięki Ginie poczuł, że ma ochotę zacząć wszystko od nowa.

- Proszę mi wierzyć, księżno - zwrócił się do starszej damy rozmyślającej o prezydentach i perłach - z całego serca pragnę poślubić pani wnuczkę.

Utkwiła w nim przenikliwe spojrzenie.

- No dobrze - rzekła po dłużej chwili. - Może się pan do mnie zwracać Charlotte, bez tytułu. Podejrzewam, że w najbliższych miesiącach często będziemy się widywali.

- Też tak sędzę.

- A teraz przepraszam, muszę pożegnać moją drugą wnuczkę, zanim wyruszy w podróż poślubną.

TLR

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Sara z Devem pojechali na lotnisko, Gina odprowadziła babkę i Marię, jej honduraską gospodynię, do czekającej limuzyny.

- Ja jeszcze chwilę tu zostanę. Chcę sprawdzić, czy rodzina Deva ma wszystko zabukowane na powrót do domu.

- Sądziłam, że asystent Deva zajmuje się takimi sprawami?

- Pat? Owszem. Ale muszę również zerknąć do listy gości i omówić z nim finanse.

Księżna zeszytniała, a Gina zakłęła w duchu. Obie siostry wiedziały, że koszty wesela stanowiły przedmiot sporu między Charlotte a Devem. Dev chciał za wszystko zapłacić sam, babka się sprzeciwiała. Tylko dzięki umiejętnościom negocjacyjnym Deva doszli do porozumienia, które pozwoliło księżnej zachować dumę.

Gina pokręciła głową. Po jakie лихо wspomniła o pieniądzach? To wina Jacka, uznała. Ich rozmowa wytrąciła ją z równowagi. Boże, dlaczego zgodziła się z nim jutro spotkać?

Zanim księżna wsunęła się na tylne siedzenie limuzyny, zmierzyła wnuczkę surowym wzrokiem.

- Nie przemęczaj się, Eugenio. Cięża pozbawia kobietę sił, zwłaszcza podczas pierwszego trymestru.

- Na razie nie czuję zmęczenia. Nie dokuczają mi też mdłości. Odpukać... - Gina rozejrzała się za czymś drewnianym. Zadowolila się drzewkiem w donicy przed wejściem do Plazy. - Za to piersi bolą mnie jak diabli. - Poruszyła ramionami, jakby chciała rozluźnić gorset sukni. - Marzą o tym, żeby wydostać się z tej kiecki.

- Na miłość boską, Eugenio! - Księżna zerknęła w stronę kierowcy, który stał przy otwartych drzwiach.

- Dokończymy tę rozmowę jutro.

Całując babkę na pożegnanie, Gina poczuła znajomy zapach lawendy i koronek.

- Nie zapomnij o lekarstwach.

- Nie mam sklerozy, młoda damo.

Przybrawszy zawstydzoną minę, Gina pomogła babce wsiąść do limuzyny, po czym zwróciła się do Marii, którą obie z Sarą traktowały jak drugą matkę.

- Zostaniesz z nią, Mario? Wrócę za dwie godziny.

- Nie musisz się spieszyć, *chica*. *La duquesa* i ja posiedzimy sobie i porozmawiamy o tym, jakie piękne urządziłaś siostrze wesele.

- Wypadło świetnie, prawda?

- Fantastycznie - oznajmiła z uśmiechem Maria.

Gina wróciła do sali balowej. Większość gości już wyszła, między innymi pewien irytujący ambasador. Powinna była od razu go wyprosić. Ale czy to by coś dało?

Facet nie rozumiał, dlaczego nie chce go poślubić. Charlotte też nie rozumiała. Oczywiście ani babka, ani Sara nie krytkowały jej decyzji o samotnym macierzyństwie, lecz wiedziały, że obie się dziwią. Bo faktycznie, z pozoru John Harris Mason III wydawał się idealnym kandydatem na męża. Bogaty, czarujący, przystojny...

Gina jednak się bała. Wszystkie artykuły, jakie czytała na jego temat, wspominały o tym, że wciąż nie przeboleła straty żony, którą poznał w szkole średniej, a poślubił dzień po tym, jak oboje ukończyli Harvard. Catherine Mason dorównywała mężowi inteligencją, tak jak on interesowała się sportem i polityką.

Czy ona mogła wygrać z dawną miłością? Mała szansa. Nie, nie miała kompleksu niższości. Księżna, która nadal spotykała się z prezydentami i królami, całe życie nalegała, aby wnuczki zdobyły wykształcenie. I tak Gina skończyła, z niezłym wynikiem, studia w Barnard College. Tyle że pociągało ją życie towarzyskie, polityka zaś ani trochę.

A Jack... chyba mogłaby się w nim zakochać. W tamten weekend była tego bliska. Nigdy dotąd nie spotkała tak fascynującego mężczyzny. Jednak wszelkie rozważania, czy nadawałaby się na żonę dyplomaty, urwały się, gdy odkryła, że jest w ciąży. Świat polityki, małżeństwo i macierzyństwo... nie, nie udźwignęłaby tego. Najważniejsze w tej chwili było dziecko oraz praca, która pozwoliłaby jej na utrzymanie dwóch osób.

- Spisałaś się na medal.

Uśmiechnęła się do przyjaciela Deva z czasów, gdy obaj służyli w lotnictwie. Dziś Patrick Donovan żelazną ręką rządził imperium kumpla.

- Dzięki, Pat.

- Jeśli postanowisz wrócić do Los Angeles, koniecznie daj mi znać. Przydałby nam się ktoś z twoimi umiejętnościami. Niemal co tydzień gościmy ważnych przemysłowców z Chin, z Niemiec czy Australii.

- Na razie chcę tu się zaczepić w jakiejś firmie organizującej przyjęcia. I planuję na sześć, osiem miesięcy zamieszkać z babką.

O ile księżna wyrazi zgodę. Zajęta przygotowaniami do ślubu siostry, jeszcze nie rozmawiała z Charlotte na ten temat. Oczywiście skoro Sara przenosi się z mężem do Kalifornii, byłoby lepiej, aby babka nie mieszkała sama.

- Mam znajomości w Nowym Jorku. Mogę podzwonić...

- Dzięki, nie trzeba. Chcę do wszystkiego dojść sama.

- Okej, ale w razie czego pamiętaj o mnie. Albo szepnij słówko swojemu nowemu szwagrowi. Aha, jeśli sobie życzysz, mogę wypowiedzieć umowę na twoje mieszkanie i wysłać ci twoje rzeczy.

- Kochany jesteś.

Dwie godziny później zajechała taksówką pod Dakotę, jeden z najbardziej prestiżowych budynków mieszkalnych w Nowym Jorku. Księżna kupiła tu apartament wkrótce po przyjeździe do Ameryki. Musiała w tym celu poważnie naruszyć swój prywatny skarbiec, ale mądre inwestycje poczynione w pierwszych latach pobytu w Stanach, wsparte niekiedy sprzedażą bransoletki z brylantami lub naszyjnika, pozwoliły jej na utrzymanie mieszkania i w miarę wygodne życie.

Jednak w ostatniej dekadzie coraz trudniej było zachowywać pozory. Skarbiec był pusty. Z szaf zniknęła większość strojów od znanych projektantów. Sara, miłośniczka stylu retro, zdołała część wspaniałych sukien zachować. Dev pragnął pomóc babce żony, proponował, że poprowadzi jej sprawy finansowe, bądź co bądź miał większe doświadczenie w tej kwestii, ale „negocjacje” wciąż trwały. Oczywiście mieszkając u babki, Gina zamierzała dokładać się do utrzymania.

Podziękowawszy Marii, poprosiła ją, by jutro się wyspała.

- Ja przygotuję śniadanie.

Gospodyni popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Jesteś pewna, *chica*? *La duquesa* lubi...

- Jajka w koszulkach. Po wyłączeniu ognia należy odczekać równo cztery minuty.

- A herbatę.

- Twinings English Black. Widzisz? Wszystko wiem. Jedź do domu i odpocznij.

- No dobrze, do jutra. - Maria z niechęcią sięgnęła po torebkę wielkości walizki i opuściła mieszkanie.

Nazajutrz tuż po wpół do dziewiątej księżna pojawiła się w kuchni z włosami starannie upiętymi w kok, ubrana w czarną spódnicę do połowy łydki i jedwabną fioletową bluzkę. Nieco mocniej niż zwykle opierała się na lasce.

- Dzień dobry - rzekła Gina, ukrywając niepokój. - Dostałam esemesa od Sary. Jest zachwycona Majorką.

- Nic dziwnego. Szykujesz śniadanie?

- Tak. Idź do jadalni, zaraz wszystko przyniosę.

Charlotte, zaskoczona, przeszła do słonecznego pokoju sąsiadującego z kuchnią. Tapeta na ścianach w delikatny zielony wzorek, zielone poduszki na krzesłach i rozciągający się za oknem widok na Park Centralny tworzyły ciepły wiosenny klimat.

Gina wsypała liście herbaty do czajniczka babki i zalała je gorącą wodą. Podczas gdy herbata naciągała, włożyła dwie kromki pszennej bułki do tosterka, rozbiła dwa jajka i ostrożnie umieściła w pyrkającej wodzie. Poczula mdłości, ale po paru sekundach znikły. Dzięki Bogu.

- Gotowe.

Skinąwszy głową, Charlotte posmarowała grzankę masłem. Gina wzięła głęboki oddech.

- Babciu, czy... - Psiakość! To było trudniejsze, niż sądziła. - Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym z tobą zamieszkała, dopóki nie znajdę pracy?

- Ależ Eugenio! Przecież tu jest twój dom. Możesz mieszkać tak długo, jak chcesz.

- Dziękuję - szepnęła Gina. Nie płakała. Po prostu była wzruszona, dlatego oczy się jej zaszkliły.

Księżna, nie mniej wzruszona, ścisnęła dłoń wnuczki.

- Coś ci powiem, kochanie. Przerażała mnie myśl, że po wyprowadzce Sary miałabym mieszkać sama. Jestem zachwycona, że chcesz się wprowadzić, ale pewnie musisz lecieć do Los Angeles po...

- Patrick obiecał, że wszystkim się zajmie.

- Doskonale! - Charlotte sięgnęła po widelec. - Podobno chcesz zająć się cateringiem?

- Nie cateringiem, organizacją imprez. Urządziłam kilka balów w Los Angeles i wiem, że to mi lepiej wychodzi niż cokolwiek innego.

- Ze ślubem poradziłaś sobie znakomicie.

- Było pięknie, prawda? - Gina uśmiechnęła się zadowolona. - Fotograf z pisma Sary zrobił wspaniałe zdjęcia. Przesłałam je kobiecie, z którą jestem umówiona w sprawie pracy.

- Kiedy? Dziś?

- Tak. Z Nicole Tremayne, szefową Tremayne Group. TTG organizuje wiele imprez w Nowym Jorku.

- Znałam kiedyś Nicholasa Tremayne'a. - Charlotte zamyśliła się. - Nicole to pewnie jego córka. Mogę do niego zadzwonić...

- Nie, babciu. Błagam.

- Dlaczego? - Księżna popatrzyła na nią zdziwiona.

- Bo chcę sama...

- To dobrze o tobie świadczy, drogie dziecko, ale...

- Wiem. Biorąc pod uwagę moje dotychczasowe doświadczenie zawodowe oraz fakt, że jestem w ciąży, znalezienie pracy będzie graniczyło z cudem. Ale chcę spróbować. Sama, bez niczyjego wstawianictwa.

- Oczywiście, skoro ci na tym tak zależy.

- Dziękuję. Na Devonie i Patricku też wymogłam taką obietnicę. Jeszcze wymuszę na Jacku, kiedy się z nim spotkam.

W oczach księżnej pojawił się błysk zaciekawienia.

- Umówiłaś się z Jackiem? Wydawało mi się, że powiedziałaś mu już wszystko, co chciałaś.

- I to nieraz. Facet w ogóle mnie nie słucha.

- Więc po co kolejne spotkanie?

- Bo się uparł. - Gina skrzywiła się zdegustowana. - Teraz rozumiesz, dlaczego nie chcę go poślubić?

Przez dłuższą chwilę księżna milczała.

- Mam mnóstwo wspaniałych wspomnień związanych z twoją matką, Eugenio, jak również z tobą i Sarą, ale wierz mi, samotne macierzyństwo bywa trudne.

- Och, babciu! - szepnęła Gina. - Nie poradziłabym sobie, gdyby nie ty, nie twój przykład. Dałaś mnie i Sarze tak wiele miłości, sprawiłaś, że wiodłyśmy szczęśliwe życie. Mogę mojemu dziecku zapewnić to samo.

- Ja też wiem, że możesz. I że zapewnisz.

Zamierzała spędzić rano, przygotowując się do rozmowy z Nicole Tremayne, ale zamiast tego jej myśli ciągle wędrowały w stronę Jacka. Strasznie ją to denerwowało. Jeszcze bardziej zirytowała się, kiedy spojrzała na stroje, które przywiozła z sobą do Nowego Jorku. Wszystkie były za kolorowe, za obcisłe, za wzorzyste, za kuse. Może odzwierciedlały jej barwną osobowość, ale nie pasowały na spotkanie z potencjalnym pracodawcą. Ani na lunch z ambasadorem.

Zrezygnowana udała się do pokoju siostry i zaczęła przeglądać stylowe kostiumy i suknie, które Sara ocalała z szafy babki. Po długich wahaniach zdecydowała się na czarne spodnie o lekko rozszerzanych nogawkach. Do tego jedwabny żakiet od Valentina w kolorze perłowym oraz czarne pantofle na płaskim obcasie. Lekki makijaż, włosy w kok. Stanąwszy przed lustrem, wytrzeszczyła oczy.

- Boże, wyglądam jak babcia.

Jeśli księżna rozpoznała się w wnuczce, miłościwie to przemilczała. Ginie jednak nie umknęło zdumione spojrzenie, jakie wymieniła z Marią.

O dwunastej przybyła do Boathouse, ulubionej restauracji miejscowych i turystów. Z sięgających od podłogi do sufitu okien rozciągał się widok na położone wśród zieleni jezioro, a dalej na wieżowce Manhattanu.

Zarówno przy barze, jak i w sali restauracyjnej panował ożywiony ruch, mimo to Gina od razu spostrzegła Jacka. Siedział przy stoliku w rogu, skąd również miał niezmacony widok na park. Przez moment stała na schodach z ręką zaciśniętą na poręczy. Nogi miała jak z waty, w głowie się jej kręciło. Wszystko przez te szalejące hormony, pomyślała. Wczoraj na weselu zaparło jej dech, gdy zobaczyła Jacka w smokingu. Dziś miał na sobie niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami.

Wtem podniósł głowę, omiótł wzrokiem lokal, po czym zatrzymał na Ginie spojrzenie. Jako wytrawny dyplomata szybko przybrał neutralną minę, ale ten moment zaskoczenia podziałał na nią mobilizująco.

- Czy wskazać pani stolik? - spytał kierownik sali.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Proszę uważać na schodach.

- Nie rozpoznałem cię - przyznał z rozbawieniem Jack, gdy podeszła. - Ta zmiana stylu z czymś się wiąże?

- Owszem. - Przez chwilę zastanawiała się, czy zwierzyć mu się ze swych planów. - Mam rozmowę w sprawie pracy z szefową Tremayne Group, jednej z największych agencji organizujących imprezy w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Chicago.

Jack zeszywniał. Pomyślała, że zacznie protestować, że będąc w ciąży, nie powinna zajmować się profesjonalną obsługą przyjęć.

- I w Bostonie - dodał cicho. - Właśnie TTG zleciliśmy z żoną zorganizowanie naszego wesela.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Nie wiedziałam, że coś cię łączy z tą firmą. Zaraz zadzwonię i odwołam spotkanie. - Sięgnęła do torebki.

- Poczekaj. - Ujął jej dłoń. - Przyznaję, wolę, żebyś nie robiła kariery w Nowym Jorku ani gdziekolwiek. Ale...

- Ale?

Przyjrzał się jej badawczo.

- Naprawdę jesteś przeciwna małżeństwu?

Skierowała wzrok na jego opaloną rękę.

- Właściwie to tak.

- Właściwie?

- Lubię cię, Jack. To znaczy kiedy nie wywierasz na mnie presji. Jesteś fantastyczny w łóżku, ale... Wydaje mi się, że oboje pragniemy od życia czegoś więcej.

Milczał.

- Opowiedz mi o swojej żonie - poprosiła.

Zabrał rękę i utkwiał oczy w łódkach leniwie sunących po jeziorze. Wiosła mąciły taflę, w której odbijały się stojące za linią drzew wysokie budynki.

- Catherine była mądra, zabawna i miała zabójczy serw. Dawała mi porządny wycisk na korcie. Mogłaby grać zawodowo, gdyby tak bardzo nie pochłaniała jej polityka.

Kiedy do stolika podszedł kelner, Gina zamówiła bezkofeinową herbatę o smaku mango, a Jack drugą kawę. Karty dań na razie odłożyli na bok.

- Razem ze znajomą ze sztabu wyborczego chodziła po domach, namawiając ludzi do głosowania. W pewnym momencie pękł tętniak w jej mózgu. Zmarła na miejscu.

- Straszne.

- Dopiero sekcja wykazała, że miała zespół Ehlersa-Danlosa. To rzadka dziedziczna choroba, w której występują nieprawidłowości w budowie naczyń. Dlatego przygotowałem dla ciebie to.

Z cienkiej skórzanej teczki wyjął plik kartek. Przez moment myślała, że to intercyza. Albo kopia testamentu, w którym zapisuje spadek dziecku. Albo...

- Twój ginekolog na pewno zechce poznać historię medyczną obojga rodziców. Mnie nic nie dolega, ale mój ojciec i dziadek mieli przewlekłe nadciśnienie, a matka nowotwór piersi. Wybrałaś lekarza?

- Jeszcze nie.

- Powinnaś już odbyć pierwszą wizytę kontrolną.

- Zajmę się tym, jak tylko znajdę pracę.

- Takich rzeczy nie wolno odkładać. Pokryję koszty.

- Mowy nie ma.

- Och, na miłość... - Jack urwał, zacisnął powieki, a po chwili ciągnął spokojniejszym tonem: - Skoro nie masz pracy, to zakładam, że nie masz ubezpieczenia.

- Znajdę pracę.

- Okej, ale nawet jeśli znajdziesz pracę jutro, ubezpieczenie zacznie działać za pół roku. Nie wiadomo, czy obejmie ciążę, w którą zaszłaś przed tym terminem.

Psiakrew! O tym nie pomyślała. Domek z kart, który tak mozolnie budowała, rozleciał się. Szlag by trafił te hormony! Nie rozplacze się, na pewno nie przy Jacku.

Musiał wyczuć, że Gina toczy z sobą walkę. Jego spojrzenie złagodniało.

- Posłuchaj, to jest również moje dziecko. Pozwól mi pomóc.

Z władczym Jackiem umiała sobie radzić, z miłym i pokornym było trudniej. Odsunęła krzesło.

- Przepraszam, muszę iść do toalety.

Kiedy wróciła do stolika, kelner zdążył przynieść herbatę i kawę.

- Nie pomyślałam o ubezpieczeniu - przyznała i wypłała łyk złocistego płynu. - A więc dobrze. Jeśli okaże się, że ubezpieczenie nie pokrywa wizyt u ginekologa, wtedy z wdzięcznością przyjmę pomoc.

- Świetnie. - Jack zawahał się. - Nie jest łatwo znaleźć dobrego lekarza. Mógłbym zadzwonić do szefa swojego gabinetu i poprosić, aby wysłał ci mejlem listę najlepszych ginekologów w mieście. I przy okazji sprawdził, czy przyjmują nowych pacjentów.

Przełykając dumę, Gina skinęła głową.

- Byłabym wdzięczna.

- Daj znać, na którego lekarza się zdecydujesz. Albo przekaz wiadomość Vickersowi. On zna mój harmonogram.

- Twój harmonogram? - zdziwiła się.

- No tak. Jeśli tylko będę w kraju, przylecę do Nowego Jorku, żeby pójść z tobą na wizytę.

- No tak. - Starając się nie stracić panowania, Gina podniosła kartę dań. - Lepiej coś zamówmy. W TTG muszę być o wpół do trzeciej.

- Gino, może chcesz, żebym zadzwonił do Nicole...

- Nie! - Chryste, czy tylko ona nie ma znajomości w TTG? - Nigdzie nie dzwoń. Nie wstawiaj się za mną. Chcę to załatwić sama. Rozumiesz?

Jack wzruszył ramionami, po czym skinął na kelnera. Gdy złożyli zamówienie, skierował rozmowę na inne tory. Ginie poprawił się humor. Po paru minutach śmiała się wesoło. Kiedy chciał, potrafił być czarujący.

Jedząc placek z krabów, obserwowała Jacka. Podobały jej się zmarszczki, które pojawiały się w kącikach jego oczu, gdy się uśmiechał, podobały się złociste refleksy w jego włosach. Podobał się widok mięśni pod koszulą. Przypomniała sobie, jak gładziła jego tors, uda...

- Gino?

- Przepraszam. Co mówiłeś?

- Pytałem, czy nie przyjechałabyś na dzień lub dwa do Waszyngtonu. Chętnie pokazałbym ci mój dom i przedstawił rodzicom.

Prośba była całkiem rozsądna. To zrozumiałe, że rodzice Jacka będą chcieli poznać matkę swojego wnuka. Podejrzewała jednak, że John Harris Mason II, człowiek o bardzo konserwatywnych poglądach, raczej nie przyjmie jej z otwartymi ramionami.

- Później o tym porozmawiamy. Jak już znajdę pracę. Dobrze?

Pod koniec lunchu Gina zaczęła odczuwać coraz większe napięcie. Kiedy opuścili restaurację, była kłębkim nerwów. Szli przez park, który o tej porze był pełen rowerzystów i wyciągniętych na ławkach miłośników słońca. Przy Fontannie Bethesda grupa Japończyków fotografowała się na tle rzeźby.

Na Piątej Alei Jack złapał taksówkę.

- Trzymaj za mnie kciuki - poprosiła Gina.

- Dam ci całusa na szczęście.

To było tylko lekkie muśnięcie, przynajmniej na początku. Nie była pewna, które z nich przejęło po chwili inicjatywę, w każdym razie Jack wsunął dłoń za jej szyję, a ona wspięła się na palce. Niewinny całus przekształcił się w namiętny pocałunek.

- Muszę... już jechać!

Wyrwała się z objęć i wsiadła pośpiesznie do taksówki. Przez całą drogę do TTG liczyła na palcach powody, dlaczego tak bardzo zależy jej na tej pracy.

Dziesięć po trzeciej te same powody powtarzała w myślach. Od ponad pół godziny czekała w nowoczesnie urządzonej sekretariacie Nicole Tremayne, podczas gdy zaaferowana sekretarka odbierała telefony, a reszta podwładnych wchodziła do gabinetu szefowej i po chwili wychodziła. Kiedy indziej po kwadransie Gina zrezygnowałaby ze spotkania, teraz nie mogła sobie pozwolić na fochy.

Siedząc na kanapie, przeczytała po raz kolejny wydruki z internetu na temat TTG i ponownie obejrzała każdą stronę lśniącej broszury przeznaczoną dla potencjalnych klientów. Wreszcie sekretarka wskazała drzwi do królestwa Nicole.

Gina przystanęła oszołomiona. Ta ciemna nora to centrum dowodzenia firmy, która organizuje ponad dwa tysiące różnorodnych imprez rocznie? A ta drobna postać za marmurowym blatem, która wyciągnęła na powitanie rękę, to sławna Nicole?

- Eugenia St. Sebastian, tak? - Kobieta miała na głowie burzę szpakowatych loków i mierzyła góra metr pięćdziesiąt wzrostu, z czego dziesięć centymetrów przypadało na obcasy czerwonych kozaków. - Przepraszam, że musiałaś czekać.

- Ja...

- Mój ojciec podkochiwał się w twojej babce. Byłam wtedy dzieckiem, ale pamiętam, że chciał zostawić dla niej moją matkę.

- Nie...

- Powinien był. Matka była prawdziwą zołą. - Zrzuciwszy na podłogę katalog z próbkami materiałów, Nicole wskazała fotel.

Gina usiadła, wciąż oszołomiona. Nicole przysiadła obok na brzegu krzesła.

- Przejrzałam zdjęcia ze ślubu twojej siostry. Dobra robota. Sama wszystko przygotowałaś?

- Z drobną pomocą.

- Czyją?

- Andrew z Plazy i Patricka Donovana, który...

- Jest prawą ręką Deva. Wiem. W zeszłym roku współpracowaliśmy, kiedy firma Huntera organizowała wielką galę charytatywną. Trzy tysiące gości, bilety wstępu po dwa tysiące. To kiedy możesz zacząć?

- Słucham?

- Jedną z naszych pracownic zatrzymano za posiadanie narkotyków. Będzie odpowiadać z wolnej stopy, ale nie mogę jej zatrudnić. - Nicole zmrużyła oczy. - Mam nadzieję, że niczego nie zażywasz?

- Nie.

- W porządku. Więc sytuacja wygląda następująco: nie masz doświadczenia w branży, za to masz świetne pochodzenie. Jeśli choć w pięćdziesięciu procentach odziedziczyłaś klasę i inteligencję swojej babki, powinnaś sobie bez trudu poradzić.

Powinna czuć się zaszczycona czy urażona?

- Poza tym dorastałaś w Nowym Jorku, znasz miasto i mieszkańców. A zdjęcia, które przysłałaś, świadczą o tym, że masz talent artystyczny. Wkrótce się przekonamy, czy potrafisz pracować w zespole. W każdym razie ja jestem gotowa zaryzykować. To co, kiedy możesz zacząć?

Jutro! - miała ochotę krzyknąć.

- Choćby i dziś, ale muszę o czymś uprzedzić.

- Tak?

- Jestem w ciąży.

- I co?

Naprawdę to Nicole nie obchodzi?

- Dzwoniła do pani moja babka? Albo Pat Donovan?

- Nie.

Psiakrew! Czyli to sprawka Jacka.

- Więc rozmawiała pani z ambasadorem.

- Jakim ambasadorem?

- Jackiem Masonem.

- Mason, Mason... - Szefowa TTG postukała się w brodę paznokciem w tym samym krwistym odcieniu co kozaki. - Skąd ja znam to nazwisko?

Gina uznała, że nie będzie jej przypominać.

- Kim on jest? - spytała Nicole. - I dlaczego miałabym z nim rozmawiać?

- To mój przyjaciel - odparła niechętnie Gina. - Wspomniałam mu o dzisiejszym spotkaniu i pomyślałam, że może próbował.

- Nie próbował. Swoją drogą dobrze mieć ambasadora za przyjaciela. Więc jak? Chcesz tę robotę czy nie?

Przyszło jej na myśl, że przed udzieleniem odpowiedzi powinna zapytać o pensję, godziny pracy i tym podobne, ale była zbyt przejęta, by o cokolwiek pytać.

- Tak, bardzo.

- Świetnie. Poproś sekretarkę, żeby skierowała cię do kadr. I mów do mnie Nikki.

Wypełniwszy trzy tuziny formularzy, Gina opuściła gabinet kadrowej. Liczyła na odrobinę wyższą pensję, za to sama praca wydawała jej się wprost wymarzona. Jako koordynatorka imprez miała uczestniczyć we wszystkich fazach przygotowań. Do jej obowiązków należało planowanie przyjęć, bankietów, wystaw handlowych, układanie menu, zamawianie jedzenia, dekoracji, napojów, organizowanie dojazdów, zatrudnianie ochrony.

W dodatku w kadrach usłyszała, że jeśli się sprawdzi, niewykluczone, że dostanie awans. Przejęta i uradowana wyszła z budynku na zalaną majowym słońcem ulicę. Koniecznie chciała podzielić się z kimś dobrą wiadomością. W pierwszej chwili pomyślała o Jacku. Wyjęła telefon i nagle się zawahała. Dlaczego Jack? Żeby udowodnić mu, że jest osobą odpowiedzialną, która potrafi zarobić na sobie i dziecko?

Skrzywiła się. Nie, lepiej poczeka miesiąc czy dwa i zobaczy, jak sobie daje radę. Zamiast dzwonić do Jacka, wysłała esemesa do Sary: „Mam pracę. Odezwij się, jeśli Dev na moment wypuści cię z objęć”.

Taksówką pojechała na Upper West Side. Wsiadła kilka przecznic od Dakoty przy Ostermanie, małej knajpce istniejącej od czasu Wielkiego Kryzysu. To tu obie z Sarą pokochały kanapki z peklowaną wołowiną; wpadały do Ostermana, ilekroć przyjeżdżały do Nowego Jorku. Dziś jednak celem Giny nie były kanapki, tylko słynne serniki.

- Poproszę trzy kawałki. Jeden z białą czekoladą i malinami, drugi limonkowy, trzeci jabłkowo-karmelowy. I jeszcze jeden - dodała po chwili. - Z ananasowym spodem.

Miała ochotę świętować, więc z lodówki w rogu wyjęła butelkę zmrożonego szampana bezalkoholowego, po czym wrzuciła do koszyka kawałek sera brie i bochenek chrupiącego chleba. W drodze do kasy minęła półkę z kawiorami. Babcia tak je lubiła!

Jęknęła na widok ceny stugramowego słoiczka, potem szybko przeliczyła w myślach wydatki. Okej, może starczy pieniędzy. Zapłaciwszy kartą, odetchnęła z ulgą. Parę minut później, obciążona, zbliżyła się do drzwi Dakoty.

- Pomogę! - zawołał portier.

Jerome pracował tu, odkąd sięgała pamięcią. Podejrzewała, że rozpoczął pracę w tym samym czasie co Osterman otworzył swoją knajpkę.

- Trzeba było wezwać taksówkę, lady Eugenio.

Obie z Sarą latami prosiły go, żeby mówił do nich po imieniu. W końcu się poddały.

- Dzięki, Jerome. Mam coś dla ciebie. - Podała mu trójkątne pudełeczko.

- Serniczek! Na ananasowym spodzie! - Portier uśmiechnął się szeroko. - Pamiętała pani.

- Jakżebym mogła zapomnieć? Kto mi wciskał kilka dolarów, ilekroć szłam do Ostermana?

Przez moment myślała, że Jerome pogłaszcze ją po głowie, tak jak to robił, kiedy była mała.

- A szampan to z okazji ślubu lady Sary? - spytał, widząc wystającą z torby butelkę.

- Nie, dziś ja świętuję powrót do Nowego Jorku...

- Lady Eugenio! Co za wspaniała wiadomość! Bałem się, że księżna zostanie sama.

- Poza tym znalazłam pracę.

- Brawo, świetnie.

- I jestem w ciąży.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nazajutrz o wpół do dziesiątej Gina weszła do budynku, w którym agencja TTG wynajmowała powierzchnię. Wyszła z niego sporo po północy.

Dawny zdewastowany magazyn nad East River został całkowicie wyremontowany, obecnie mieścił się w nim nowoczesny kompleks biurowy, kompleks rozrywkowy i restauracje. TTG zajmowała trzypiętrowe skrzydło. Na parterze znajdował się dziedziniec z fontannami, a na górnym piętrze olbrzymi taras z widokiem na rzekę.

Przy wejściu w recepcji siedziała rudowłosa kobieta, która odbierała nieustannie dzwoniący telefon. Zakończywszy jedną rozmowę i poprosiwszy dwóch rozmówców o cierpliwość, popatrzyła pytająco na gościa.

- Gina St. Sebastian, nowa...

- Wiem, koordynatorka. Jestem Kallie. Samuel urzęduje w sali bankietowej. Prosił, żeby cię od razu do niego przysłać. Drugie piętro.

Gina zerknęła na swoje odbicie w lustrze na ścianie windy. Dziś włosy zostawiła rozpuszczone, żeby jej jednak nie wpadały do oczu, włożyła cyklamenową opaskę wysadzaną kryształkami. Ponieważ to był jej pierwszy dzień w pracy, ubrała się dość spokojnie, w seledynową tunikę i czarne legginsy.

Na drugim piętrze kręcił się tłum mężczyzn. Jedni w niebieskich kombinezonach zdejmowali krzesła z metalowych wieszaków i ustawiali przy okrągłych stołach. Drudzy w czarnych spodniach i białych koszulach przystrajali krzesła lśniącym zielonym materiałem, a na stołach rozkładali złote obrusy. Trzecia grupa ustawiała talerze i szklanki. Dekoratorzy przybijali dekoracje, tworząc bajkowy Szmaragdowy Gród. W powietrzu unosił się zapach magnolii.

Gina przedzierała się między ludźmi i stołami w stronę stracha na wróble, który w jednej ręce trzymał stos kartek, w drugiej krótkofalówkę, a w uchu miał Bluetootha.

- Nie „Czarodziej z krainy Oz”! - krzychał do słuchawki. - Kogo dziś interesuje Judy Garland? Chodzi o ten nowy film z Ozem w tytule. - Mężczyzna zniecierpliwiony pstryknął palcami.

- „Oz: Wielki i Potężny” - podpowiedziała Gina.

- Właśnie. „Oz: Wielki i Potężny”. Występuje w nim Rachel Weisz i... - Pstryk, pstryk.

- Mila Kunis.

- Właśnie. Mila Kunis. Klienci chcą muzyki z tego filmu... Co? Ja? Nie. Poczekaj moment. - Popatrzył na Ginę. - Jesteś nową koordynatorką?

- Tak.

- Samuel DeGrange - przedstawił się.

- Miło mi...

Machnął ręką, nie miał czasu na uprzejmości.

- Leć na górę i powiedz didżejowi, że klienci nie chcą Toto i Dorotki. Potem upewnij się, czy barmani potrafią wyczarować musujący zielony napój.

Osiem i pół godziny później Gina w kostiumie dobrej czarownicy Glindy dokonywała ostatnich zmian przy stołach. Recepcjonistka Kallie przebrana za Manczka dyktowała jej imiona dwudziestu dodatkowych gości, których matka bohaterki wieczoru zapomniała wcześniej zaprosić. Przypomniała sobie w drodze z synagogi, gdzie odbyła się bat micwa jej córki Rachel.

Kolejne sześć godzin później Gina opadła bez sił na krzesło i popatrzyła na bałagan. Parkiet zasłany był kilogramami złocisto-zielonych serpentyn. Gdzieś leżała zapomniana szmaragdowa korona albo kolorowe pudełko. Pracownicy rozmontowywali kabiny, w których ponad siedemdziesiątka dzieci zaproszonych z okazji wejścia Rachel w dorosłość strzelała z broni laserowej do czarnych charakterów. Z czternastopiętrowego tortu ozdobionego wieżyczkami pozostały tylko okruchy. Kiedy dzieci bawiły się na dole, dorośli - rodzice, dziadkowie, ciotki, wujowie, kuzyni i przyjaciele rodziny - raczyli się drinkami w barze na górze.

Gina wyciągnęła przed siebie nogi w lśniących srebrzystych butach i wyszczerzyła zęby do chudego jak tyka Blaszanego Drwala, który opadł na sąsiednie krzesło.

- Podoba mi się ta praca.

- Dobra, dobra. - Samuel zsunął z głowy blaszany kapelusz. - Zmienisz zdanie, jak obrzyga cię pijany druhna. Albo jak dwie godziny będziesz grzebać w śmieciach, szukając diamentowych kolczyków, których szukałabyś dalej, gdyby ich właścicielka nie zadzwoniła z informacją, że właśnie znalazła je w torebce.

- Przynajmniej zadzwoniła - rzekła ze śmiechem Gina.

- Fakt. - Samuel zerknął na nią spod oka. - Świetnie się spisałaś. Znacznie lepiej, niż się spodziewałem, czytając twoje CV.

- Dzięki.

- Okej, idź do domu. Ja podliczę kasę w barze, a ekipa sprzątajaca zajmie się bałaganem.

- Do jutra.

- O dziewiątej mamy spotkanie z klientem. Ja będę mówił, a ty słuchaj i się ucz.

- Tak jest. - Poderwała się z krzesła i zsalutowała.

- Chryste, jeszcze masz na to siłę? - Samuel machnął ręką, nie czekając na odpowiedź. - Zmykaj.

„Oz: Wielki i potężny" był jej pierwszą pracą w TTG, potem nastąpiły kolejne przyjęcia z okazji zaręczyn, ślubów, rocznic, urodzin, matur. Kalendarz w maju miała wypełniony, a z każdym zleceniem nabierała doświadczenia i pewności siebie.

Tak dobrze sobie radziła, że wkrótce Samuel pozwolił jej samodzielnie składać zamówienia na dekoracje i alkohol. Chętnie też korzystał z jej pomysłów. Pomogła zorganizować „białe wesele", „czerwonoczerwony bal debiutancki" oraz zaręczyny w stylu „boso na plaży". Jej największym osiągnięciem było pozyskanie Justina Biebera na krótki występ podczas balu dla harcerek, który zaplanowano na jesień. Tak uporczywie nękała jego agenta, aż ten się w końcu zgodził.

Oczywiście nie wszystko zawsze przebiegało gładko. A to zapomniano o kosztownym posiłku dla rabina, a to pan młody został przyłapany na zabawie z drużyną, a to wściekły kierowca nie chciał wypuścić z limuzyny pijanego gościa, dopóki ten nie zapłaci za zniszczone siedzenie.

Pomiędzy jednym a drugim zleceniem Gina rozpakowała pudła z rzeczami, które Pat Donovan przesłał jej do Nowego Jorku, powitała też siostrę oraz szwagra, którzy wrócili z podróży poślubnej. Niestety niedługo później młodzi małżonkowie wyjechali do Kalifornii, by poszukać domu blisko firmy Deva.

Udało się jej umówić wizytę do jednego z trzech lekarzy figurujących na liście Jacka. Nie złościła się, że Jack wtrąca się do jej spraw. Jeśli chodzi o zdrowie dziecka, nie zamierzała unosić się dumą.

Zgodnie z obietnicą zadzwoniła, by podać mu termin wizyty. Sekretarka połączyła ją z szefem gabinetu.

- Mówi Dale Vickers, panno St. Sebastian. Pan ambasador ma naradę. Czy mogę w czymś pomóc?

- Jack prosił, żebym podała mu datę i godzinę moich badań prenatalnych. Umówiłam się z doktor Sondrą Martinson na przyszły czwartek o trzeciej piętnaście.

- Chwileczkę... Obawiam się, że w czwartek pan ambasador jest zajęty. Proszę przesunąć wizytę na inny termin.

Wyciągnęła przed siebie słuchawkę i popatrzyła na nią zdumiona, po czym ponownie przytknęła ją do ucha.

- Mam inny pomysł. Po prostu niech Jack do mnie zadzwoni.

Vickers zorientował się, że popełnił nietakt.

- Najmocniej przepraszam, jeśli panią uraziłem - powiedział, próbując ratować sytuację. - Po prostu cały przyszły tydzień pan ambasador ma spotkania. Chodzi o niedawne ataki terrorystyczne i zabezpieczenie naszych ambasad oraz personelu dyplomatycznego.

Gina już chciała wyrazić skruchę, kiedy dodał:

- A może ja zadzwonię do doktor Martinson i umówię termin, który będzie odpowiadał panu ambasadorowi?

- Pan wybaczy, ale termin musi również mnie odpowiadać.

- Myślę, że bez trudu znajdzie pani czas między jednym a drugim kinderbalem.

Ginę замуrowało. Co za straszny typ! Głosem ociekającym słodyczą rzekła:

- Nie powinien pan lekceważyć kinderbali. Za ostatni agencja zarobiła na czysto sześćdziesiąt pięć tysięcy. Niech Jack do mnie zadzwoni, na pewno coś wymyślimy.

- Ależ panno St. Sebastian, z tak trywialną rzeczą nie warto kłopotać pana ambasadora.

Wstąpiła w nią furia.

- Posłuchaj, dupku. Może ty uważasz dziecko ambasadora za rzecz trywialną, ale wątpię, czy ambasador podzieli twoje zdanie. Termin wizyty jest w czwartek o trzeciej piętnaście. Koniec dyskusji.

Zgodnie z zaleceniem zjawiała się w klinice pół godziny przed czasem, aby uzupełnić dane w formularzu, który ściągnęła ze strony lekarki. Przez tydzień, jaki minął od rozmowy z Vickersem, nie miała od Jacka wiadomości. Nie zdziwiła się więc, kiedy po wejściu do recepcji nie zauważyła żadnej znajomej twarzy.

Zdziwił ją jednak zawód, jakiego doznała. Wcześniej była tak zajęta pracą, że nie zastanawiała się nad tym, jakie emocje Jack w niej wzbudza. Czasem myślała o nim w nocy, gdy zmęczona, ale i podekscytowana

chciała z kimś pogadać, podzielić się wrażeniami. Albo kiedy widziała w metrze lub na ulicy wysokiego, opalonego mężczyznę w typie Jacka.

- Nie bądź głupia - szepnęła pod nosem, składając w kilku miejscach swój podpis. - Ważniejsze jest bezpieczeństwo personelu dyplomatycznego.

- Zdążyłem!

Poderwała głowę.

- Jack? Myślałam... Vickers mówił...

Oczy jej się zaszklily. Psiakrew. Dlaczego z kryzysami w pracy radzi sobie z uśmiechem, a przy Jacku Masonie przeistacza się w bekse? Skarciła się w duchu.

- Wiem, co ci powiedział. - Jack zajął sąsiednie krzesło. - I jak go obsztorcowałam.

- Ciężarnej kobiety nie wolno denerwować.

- Zapamiętam.

Patrząc na Jacka, poczuła wyrzuty sumienia.

- Nie powinienes był przyjeżdżać. Vickers mówił, że przez cały tydzień masz ważne spotkania.

- Dziś rano udało nam się zapiąć wszystko na ostatni guzik. Muszę jeszcze zatwierdzić raport, ale to mogę zrobić drogą mejlową. Czyli... - wziął od niej formularze i przejrzał je pośpiesznie - nie muszę od razu wracać do Waszyngtonu. Brakuje tu podpisu.

Podpisała. Ciekawe, co miał na myśli, mówiąc, że nie musi od razu wracać?

- Jeśli jesteś wolna, chętnie zaproszę cię i księżną na kolację.

- Niestety. Organizujemy przyjęcie z okazji pięćdziesiątej rocznicy ślubu. Wymknęłam się na godzinę.

- A jutro?

- Zostajesz do jutra? - Serce zabiło jej mocniej.

- Poprosiłem Dale'a, żeby odwołał moje spotkania do końca tygodnia.

- Pewnie się ucieszył.

- To naprawdę porządny gość.

- Ha! Długo u ciebie pracuje?

- Pięć lat.

- I nikt ci dotąd nie mówił, jaki to arogancki buc?

- Nie.

- Może ja tak na niego działam? - Zamilkła. - Cholera, paparazzi zwariują ze szczęścia, kiedy dowiedzą się, że nasze bzykanko skończyło się ciążą.

Jack skrzywił się.

- Może w wywiadach używaj innego określenia.

- A jakie pan proponuje, ambasadorze?

- Przepraszam. - Chyba sobie przypomniał, że ciężarnej nie należy denerwować. - Nie chciałem wypaść jak zarozumiały palant.

- Ja też przepraszam - mruknęła. - Wiem, że moja ciąża to dla ciebie problem...

- Problemem jest wyłącznie to, że nie potrafię przekonać pięknej i upartej matki mojego dziecka, aby wyszła za mnie za męża.

Chciała mu wierzyć, ale nie była tak naiwna.

- Powiedz mi prawdę, Jack. Czy obecna sytuacja zaważy na twojej karierze?

- Nie.

- Ani teraz, ani później? Czytałam, że przedstawiciele niezależnych komitetów wyborczych uważają, że w niedalekiej przyszłości mógłbyś ubiegać się o urząd prezydenta.

- Posłuchaj, Gino. - Ujął ją za brodę i obrócił do siebie. - Spotkaliśmy się, spodobaliśmy się sobie i spędziliśmy razem kilka dni. Jesteśmy wolnymi ludźmi. Nikogo nie krzywdzimy. Nikt nie ma prawa się do nas wtrącać. Twoja ciąża dotyczy wyłącznie ciebie, mnie i dziecka.

- Niezłe przemówienie, ambasadorze. - Uśmiechnęła się szeroko. - Ci z komitetów mają rację. Powinieneś ubiegać się o najwyższy urząd. Ja bym na ciebie głosowała.

- Wolałbym, żebyś mnie poślubiła.

Psiakrew, może popełnia błąd? Może jest uparta, ślepa i głupia? Czy to ważne, że Jack jej nie kocha? Nie wystarczy, że jej pragnie, a ona jego?

- Już o tym rozmawialiśmy, Jack. - Odsunęła się. - Nie wałkujmy tematu małżeństwa.

Nie była pewna, co dostrzegła w piwnych oczach: wyraz zawodu czy irytacji. Zanim zdołała go rozszyfrować, do poczekalni weszła pielęgniarka w różowo-niebieskim fartuchu z rysunkami bocianów niosących w dziobach pulchne bobasy.

- Pani St. Sebastian?

- Tak.

- Pozwoli pani ze mną. Zmierzę panią, zważę i zaprowadzę do pokoju badań.

Gina wstała, Jack również.

- Pana, panie St. Sebastian, poproszę za kilka minut.

Zdumienie malujące się na jego twarzy poprawiło Ginie humor. Z trudem hamując śmiech, ruszyła za pielęgniarką. Kiedy pięć minut później zjawił się Jack, miała na sobie luźną papierową suknię wiążaną w pasie.

- Wyjaśniłam nieporozumienie z nazwiskami - powiedziała, chichocząc.

- Aha.

- Musisz przyznać, że to było śmieszne.

Prawie nie kojarzył, o czym ona mówi. Całą jego uwagę pochłaniał jej biust. Jak mógł zapomnieć, że Gina ma takie cudowne krągłości? Na sam widok zrobiło mu się gorąco. Po chwili po pokoju weszła lekarka.

- Dzień dobry. Doktor Martinson. - Drobną siwowłosa kobieta ucisnęła dłoń pacjentki, po czym spojrzała na Jacka. - A pan, ambasadorze, jest ojcem dziecka?

- Tak.

- Przejrzałam wasze i waszych rodzin historie medyczne. Cieszę się, że żadne z was nie pali, nie używa narkotyków i nie przesadza z alkoholem. To mi ułatwi pracę. No dobrze - zwróciła się do Giny. - Zlecę badanie krwi i moczu, to nam wiele powie o pani stanie zdrowia.

Gina skinęła głową. Rzeczowy ton lekarki podziałał na nią uspokajająco. Spięła się dopiero wtedy, gdy doktor Martinson wyjęła z podajnika na ścianie rękawiczki.

- Zaczniemy od badania ginekologicznego, a potem wyjaśnię, czego się może pani spodziewać w najbliższych tygodniach i miesiącach.

Chyba zauważyła speszzenie w oczach Giny, bo naciągnąwszy rękawiczki, popatrzyła na Jacka.

- Poczekaj pan na zewnątrz, panie ambasadorze? To zajmie dosłownie chwilę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gdy wyszli z kliniki, była godzina popołudniowego szczytu. Miasto tętniło życiem, a on czuł się skołowany. Na wieść, że będzie ojcem, przeżył szok. Gdy doszedł do siebie, ogarnęło go podniecenie i radość. Całą energię skupił na tym, by doprowadzić matkę dziecka do ołtarza. Teraz, po pierwszej wizycie u lekarza i z „Poradnikiem dla ojców” w kieszeni, zrozumiał, że czeka ich wszystkich długa, niekiedy trudna droga.

Gina zaskakująco dobrze radziła sobie z ciążą. W niczym nie przypominała rozhisteryzowanej kobiety, która zadzwoniła do niego ze Szwajcarii. Zmieniła się, uspokoiła. Przeistoczyła się w nową Ginę, nadal piękną, radosną i pełną życia, ale również odpowiedzialną.

Uważnie słuchała lekarki, zadawała sporo pytań, notowała odpowiedzi. Sprawdzając kalendarz w telefonie, umówiła się na pobranie krwi w laboratorium i na kolejne wizyty. Po wyjściu odebrała mnóstwo telefonów z pracy. Tak, potwierdziła dostawę rzeźby lodowej; nie, klienci nie występowali do departamentu więziennictwa, aby ich wnuk odsiadujący wyrok w Rikers mógł uczestniczyć w przyjęciu z okazji ich pięćdziesiątej rocznicy ślubu; tak, właśnie wyszła od lekarza, łapie taksówkę i wraca.

Jack stał nieopodal, czekając, aż skończy. Mimo że niebo było zasnuwane chmurami, jej włosy lśniły jak w słoneczny dzień. W żółtej tunice oraz legginsach w żółto-turkusowe wzory wyglądała radośnie i promiennie. Przypomnił sobie ich ostatni pocałunek...

- Muszę lecieć - powiedziała, chowając telefon do torby. - Jeśli propozycja kolacji jest aktualna, to jutrzejszy wieczór mam wolny.

- Świetnie.

- Sprawdzę jeszcze z babcią i dam ci znać.

Machnąwszy ręką, Jack zatrzymał taksówkę. Gina nagle zawahała się. Czyżby również przypomniała sobie ostatni pocałunek? Może zaraz się przytuli...

- Chcesz zobaczyć, gdzie pracuję?

Skinął głową, ukrywając rozczarowanie.

- Ale to będzie krótka wizyta - ostrzegła, gdy siedzieli w aucie. - Kończymy przygotowania do przyjęcia z okazji pięćdziesiątej rocznicy ślubu. Na dwieście osób.

- Wśród których nie będzie wnuka odsiadującego wyrok w Rikers.

Gina skrzywiła się.

- Trzymaj kciuki, żeby tylko nie uciekł z więzienia. Od paru dni wyobrażam sobie, jak policja wpada na przyjęcie, akurat gdy wwozimy tort.

- Torty się wwozi?

- Jeśli są duże. Ten to piętnastopiętrowa replika latarni morskiej w Cape Harteras, gdzie nasi małżonkowie się zaręczyli.

Wyciągnęła iPhone i pokazała Jackowi zdjęcie biało-czarnej latarni strzegącej wysp Karoliny Północnej.

- Po kilku próbach udało nam się wymyślić z cukiernikiem, jak umieścić w podstawie baterie, żeby reflektor błyskał, a tort nie rozpląnął się od ciepła.

- Jestem pod wrażeniem.

I był. Podziwiał jej pomysłowość i kreatywność, zapał, energię, która ją rozpieierała.

- Mam nadzieję, że klienci też będą. Salę dekorujemy tak, aby przypominała krajobraz wyspiarski. Będzie piaszczysta plaża, muszle, stary kuter, sieci rybackie, kolorowe boje.

Ni stąd, ni zowąd Jack ujrzał przed oczami obraz kobiety, którą kochał bez pamięci. Choć próbował temu zapobiec, postać Catherine stawała się coraz bardziej błada i rozmyta. Z trudem przypominał sobie jej śmiech. Owszem, lubiła się śmiać, ale nie podchodziła do życia z takim entuzjazmem jak Gina.

Kiedy słuchał, jak Gina z ożywieniem opowiada o wieczornym przyjęciu, obraz Catherine usuwał się w cień. A gdy wysiedli z windy, cień również znikł. Poczuł się, jakby znalazł się nad Atlantykiem. Zaskoczony patrzył na piaszczyste wydmy, na stojącą do góry dnem łódź, na elektroniczne fale rozbijające się o ścianę.

- O rany! Sama to zrobiłaś? - spytał Ginę.

- Nie, większość to dzieło mojego zwierzchnika Samuela, który... O, rozmawia z szefową. Przepraszam cię na moment. Dowiem się, o co chodzi.

Jack rozpoznał drobną kobietę ze szpakowatym barankiem na głowie. W ciągu ośmiu lat Nicole Tremayne niewiele się zmieniła. Ona również go poznała. Zmarszczywszy czoło, zmrużyła oczy, powiedziała coś do Giny, po czym ruszyła w jego kierunku.

- John Harris Mason... - Wyciągnęła dłoń. - Powinam była skojarzyć, kiedy Gina spytała, czy kontaktowałam się ze mną Jack Mason.

- Mam nadzieję, że pani zaprzeczyła? Kiedy wspomniałem, że mógłbym do pani zadzwonić, niemal się na mnie obraziła.

- Tak? Ciekawe.

Nicole przyglądała mu się badawczo. Na szczęście była na tyle kulturalna, że nie spytała wprost, czy to on jest ojcem dziecka Giny.

- Przykro mi z powodu śmierci żony - rzekła.

- Dziękuję.

- Nadal mieszka pan w Bostonie?

- Nie. W Waszyngtonie. Obecnie pracuję w Departamencie Stanu.

- Aha. - Krwistoczerwonym paznokciem postukała się po brodzie. - Dobrze wiedzieć.

Po tych enigmatycznych słowach przeprosiła go i wróciła do pracy. Chwilę później przybiegła Gina.

- Przepraszam, Jack, nie oprowadzę cię po naszym królestwie. Mamy problem z rzeźbą lodową.

- Okej. Nie zapomnij dać mi znać, czy jutrzejszy termin odpowiada księżnej.

Księżna nie tylko przyjęła zaproszenie, ale zaproponowała, by wcześniej Jack wpadł do niej na drinka.

Cały dzień spędził w nowojorskim wydziale policji, w utworzonym po jedenastym wrześniu specjalnym zespole do walki z terroryzmem. Po pamiętnych atakach współpraca między władzą federalną, stanową i lokalną układała się znacznie lepiej, ale zawsze coś da się poprawić. Policję w Nowym Jorku interesowało niedawne spotkanie Jacka z antyamerykańską organizacją działającą w Mali. Dopytywali o uzbrojenie terrorystów, ich strategię, a także o dwóch Amerykanów należących do grupy. Rodzice jednego mieszkali na Brooklynie.

Późnym popołudniem Jack wrócił do hotelu. Poprosił kierowcę, by zaczekał, a sam szybko zmienił koszulę i się ogolił. Pół godziny później podał swoje nazwisko portierowi strzegącemu wejścia do Dakoty. Odkąd wiele lat temu tuż przed budynkiem zastrzelono Johna Lennona, zaostrzono środki bezpieczeństwa.

Portier zadzwonił na górę, po czym oświadczył:

- Księżna pana oczekuje.

Ciemnowłosa kobieta, którą Jack widział na weselu Sary, otworzyła drzwi. Wyraz twarzy miała neutralny, lecz Jack dostrzegł w jej oczach błysk dezaprobaty.

- *Hola*. Mam na imię Maria - przedstawiła się. - Jestem gospodynią księżnej i ciotką jej wnuczek.

Ciotką? To by tłumaczyło jej dezaprobatę. Kobieta pewnie uważała, że to on ponosi winę za ciążę Giny.

- Dobry wieczór, Mario. Widziałem panią na weselu, ale nie miałem okazji się przedstawić. Jack Mason.

- Wiem, kim pan jest. Proszę wejść. *La duquesa* czeka na pana w salonie.

Ruszył holem o ścianach wyłożonych różowym karraryjskim marmurem. Z kryształowej misy na stoliku w stylu rokoko unosił się delikatny zapach kwiatów pomarańczy. Piękne drobiazgi nie zdradzały, jak bardzo pogorszyła się sytuacja finansowa księżnej, jednak w salonie bystre oko Jacka wychwyciło ślady zubożenia.

Parkiet był prawdziwym dziełem sztuki, ale nie było na nim dywanów. Brakowało również obrazów; zostały po nich jaśniejsze ślady na ścianach. Meble były umiejętnie przemieszane, antyki sąsiadowały z nowoczesnymi kanapami, a z sięgających do sufitu okien, w których wisiały błękitne zasłony, rozciągał się wspaniały widok na Park Centralny.

Charlotte St. Sebastian siedziała wyprostowana w wysokim skórzanym fotelu.

- Dobry wieczór, Jack.

Delikatnie uściśliła wyciągniętą na powitanie szczupłą zylastą dłoń. Pamiętał, że na weselu księżna poprosiła, aby zwracał się do niej po imieniu, bez używania tytułu.

- Dobry wieczór, Charlotte.

- Gina dzwoniła, że się chwilę spóźni. Mario... - Księżna uśmiechnęła się do gospodyni. - Zanim wyjdiesz, bądź łaskawa podać nam przystawki.

Gdy kobieta znikła za drzwiami, księżna wskazała na stolik z imponującą kolekcją kryształowych karafek.

- Mogę panu zaproponować aperitif?

- Oczywiście.

- Tylko sam pan musi się obsłużyć. Białe wino jest doskonałe, leciutkie. Chyba że woli pan coś mocniejszego? - Uniosła stojący przed sobą mały kieliszek z bursztynowym płynem. - Na przykład rakiję?

Zdecydowanie wolał wino.

Maria wróciła ze srebrną tacą, na której leżały oliwki, kilka serów oraz kawałki zielonego melona owiniętego szynką parmeńską. Postawiła tacę na stoliku, tak by zarówno księżna, jak i jej gość mieli do niej łatwy dostęp.

- Dziękuję, Mario. Już idź, bo autobus ci ucieknie.

- Pojadę następnym.

Maria zerknęła nerwowo na Jacka. Nie zamierzała zostawiać swej pracodawczyni z obcym.

- Nic mi nie będzie - zapewniła księżna. - No, leć.

Skinąwszy głową, kobieta oddaliła się do kuchni. Po chwili w holu rozległ się odgłos jej kroków.

- Cieszę się, że jesteśmy tylko we dwoje - rzekł Jack, siadając naprzeciwko Charlotte.

- Ach, tak?

- Jak pani wie, Gina i ja krótko się znaliśmy, zanim...

- Mam tego świadomość.

- Dopiero teraz zaczynam w pełni doceniać, jak wspaniałą jest osobą. Chciałbym, żeby pani pomogła mi ją lepiej poznać.

- Liczy pan, że dostarczę mu informacji, które zdołają przekonać ją do małżeństwa?

- Tak.

- Jak na dyplomatę jest pan zadziwiająco szczery.

- Przekonałem się, że w trudnych sprawach szczerść popłaca.

- Czyli moja wnuczka to dla pana „trudna sprawa”? - spytała wyniośle księżna.

- Najtrudniejsza, najbardziej uparta i irytująca, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia.

O, psiakość! Widząc lodowate spojrzenie Charlotte, zrozumiał, że trochę z tą szczerością przesadził. Już zamierzał się pokajać i przeprosić, kiedy nagle księżna zatrzęsła się ze śmiechu.

- Wie pan, że Gina to samo mówi o panu?

- Domyślam się.

Kręcąc ze śmiechem głową, księżna podniosła kieliszek i wypila resztkę bursztynowego płynu.

- Dolać pani?

- Nie, dziękuję. Lekarz zabronił mi więcej niż jeden kieliszek dziennie. Gdera jak stara baba, ale utrzymuje mnie w zdrowiu już tyle lat, więc nie powinnam złorzeczyć. A zatem co chciałby pan wiedzieć o Ginie?

Czując się tak, jakby rozbroił ładunek wybuchowy, Jack odprężył się.

- Cokolwiek. Na przykład jakim była dzieckiem? Czy sprawiała dużo problemów wychowawczych?

- Problemów to nie, ale dostarczała nam emocji. - Niebieskie oczy Charlotte zalśniły. - Pamiętam zwłaszcza jedną sytuację. Maria zabrała dziewczynki do parku. Gina mogła mieć wtedy siedem albo osiem lat.

W pewnym momencie zniknęła. Wszyscy spanikowaliśmy, zgłosiliśmy zaginięcie na policji. Po kilku godzinach Gina pojawiła się w domu razem z zawszoną bezdomną kobietą, którą znalazła śpiącą pod jakimś krzakiem. Kobieta ta mieszkała u nas tydzień, zanim załatwiliśmy jej opiekę, z której Gina była zadowolona.

Opowiedziana przez Charlotte historia pokazała Jackowi kolejne oblicze Giny. Próbował ułożyć fragmenty puzzli w całość, gdy drzwi wejściowe się otworzyły.

- To ja, babciu! Czy Jack już przyszedł? - Pytaniu towarzyszył łoskot, jakby rzuciła coś na stolik w holu.

- Tak, kochanie. Jesteśmy w salonie.

Jack wstał. Serce zabiło mu mocniej. Nagle wytrzeszczył oczy, a jego uśmiech przygasł.

- Przepraszam za spóźnienie, ale...

- Eugenio! - Księżna wciągnęła z sykiem powietrze. - Twoja fryzura!

- Fajna, nie? - Odgarnąwszy na bok proste jak spod linijki fioletowe włosy, Gina uśmiechnęła się łobuzersko. - Jutro po południu organizujemy przyjęcie w stylu manga. Będę Yuu Nomiya.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz, ale mam nadzieję, że ten kolor jest zmywalny.

- Tak, po dwukrotnym myciu nie będzie po nim śladu. - Pocięszywszy babkę, spojrzała przeproszająco na Jacka. - Nie przepadła nam rezerwacja, co?

- Nie, mamy mnóstwo czasu. - Usiłował patrzeć na jej twarz, a nie na otaczającą ją fioletową aureolę. - Napijesz się czegoś? Dziś ja pełnię honory domu.

- Och, tak!

Opadła ciężko na kanapę i nagle zauważyła skierowane na siebie pełne dezaprobaty spojrzenia.

- Nie, nie chcę alkoholu - wyjaśniła pośpiesznie. - Poproszę tonik z dużą ilością lodu.

Wzięła od Jacka szklankę i starając się wytłumaczyć babce, na czym polega japońska manga, podjadała przystawki, aż opróżniła tacę.

Księżna słuchała z zainteresowaniem o dziwnym zjawisku, które opanowało cały świat, zadawała pytania, na które Gina odpowiadała z entuzjazmem. Stopniowo jednak jej odpowiedzi stawały się krótsze i jakby mętne. Jednocześnie ona sama coraz bardziej osuwała się na leżące na kanapie poduszki. Gdy wreszcie w połowie zdania oczy się jej zamknęły, księżna westchnęła.

- Kochanie, jesteś ledwo przytomna. Idź spać.

Gina nawet nie drgnęła. Spała jak zabita.

- Ostrzegałam ją - rzekła z czułością babka. - Mówiłam, że w pierwszych miesiącach na nic nie ma się siły.

- Doktor Martinson też ją uprzedzała.

- Cóż, musimy zrezygnować z kolacji. Niech się wyśpi.

- Oczywiście. Nie, proszę jej nie budzić! - Jack poderwał się z krzesła, gdy księżna czubkiem łaski chciała dźgnąć śpiącą wnuczkę.

Pochyliwszy się, wziął Ginę na rękę.

- Gdzie jest sypialnia?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Miała cudowny sen: obejmowały ją silne męskie ramiona. Czuła się krucha, otoczona troską i miłością. Rozkoszując się tym doznaniem, zignorowała dziwny ucisk w dole brzucha i wtuliła nos w coś miękkiego.

Tym czymś miękkim, jak się zorientowała po chwili, była poduszka, a uciskał ją pęcherz. Z trudem uniosła powieki. W słabym blasku lampki zobaczyła zarysy swojego pokoju. Leżała na łóżku, przykryta jedwabną narzutą.

Podparwszy się na łokciu, usiadła. Ubranie miała pomięte. Do oczu wpadały jej kosmyki fioletowych włosów. Odgarnęła je z twarzy, po czym zrzuciła narzutę i podreptała do łazienki. Kiedy wróciła do sypialni, pozbyła się ubrania i wsunęła pod kołdrę. Zасыpiając, ponownie zaczęła śnić o silnych ramionach...

- Jack?

Otworzyła szeroko oczy i przekręciła się na drugi bok. Po lewej stronie łóżka pościel była nietknięta. Gina skrzywiła się zła na siebie.

- Idiotka! Coś ty myślała? Że Jack wejdzie ci do łóżka? Tu, w mieszkaniu babci?

Opadła z powrotem na poduszkę i podciągnęła kołdrę. Nagle poczuła, jak piecze ją całe ciało. Wpatrując się w sufit, oddychała ciężko. Przed oczami przesuwały się jej obrazy przedstawiające ją i Jacka podczas seksu. Widziała, jak Jack się nad nią pochyla, jak ona popycha go na wznak, po czym siada na nim, a on, przytrzymując ją w talii, unosi biodra w górę i w dół. O Chryste, mogła się tego spodziewać. Przecież w jednej z broszur od doktor Martinson czytała, że kobiety w ciąży mają zwiększony popęd płciowy. Autor nie kłamał. Pragnęła Jacka...

- Na miłość boską!

Zrzuciwszy kołdrę, wstała i podeszła do toaletki z trójskrzydłowym lustrem oraz mnóstwem szufladek. Ileż to godzin spędziła przed nim w dzieciństwie! A to podziwiała się wystrojona w perły babci i peniuar siostry, a to ubrana w samą bieliznę sprawdzała, czy ma już dość wypukłe kształty. W szufladkach zaś chowała liściki miłosne i błyskotki od chłopców.

Liścików i błyskotek dawno się pozbyła, ale w jednej z szufladek znalazła wibrator. Nieczęsto go używała, ale... ale ten ogień, który ją trawił, wymagał ugaszenia.

Ulgę poczuła niemal od razu. Już po chwili ciało jej zwiotczało, ale myśl o Jacku nie pozwalała zasnąć. Czy bardzo był zły z powodu kolacji? A może wybrali się we dwoje, on i babcia? Czy zadzwoni do niej jutro?

Na odpowiedzi musiała jednak poczekać. Ponieważ przyjęcie urodzinowe w stylu manga zaczynało się o jedenastej, wyszła z mieszkania, zanim księżna wyłoniła się ze swej sypialni.

Podczas krótkiej jazdy metrem wahała się, czy nie zadzwonić do Jacka, ale na samo wspomnienie wczorajszego wieczoru się zaczerwieniła. Bała się sięgnąć po komórkę. Jeszcze na dźwięk jego głosu znów się podnieci. I tak się stało, gdy tuż po wpół do dziesiątej zadzwonił do niej Jack.

- Co słyhać, śpiochu?

- Dziękuję, wszystko w porządku. - Ściskając słuchawkę między brodą a ramieniem, zaakceptowała plan rozmieszczenia gości przy stołach i oddała go Kallie. - Przepraszam za wczoraj. Nawet nie wiem, kiedy zasnęłam.

- Nic się nie stało. Księżna nie chciała zostawiać cię samej, więc zamówiliśmy coś do domu.

- Żytnie kanapki z wołowiną od Ostermana?

- Skąd wiesz?

- Zawsze je zamawiamy. I co, babka wyjawiała ci wszystkie moje błędy młodości?

- Nie wszystkie. Powiedziała, że resztę sama mi wyjawisz. Powiedziała też, że wychodzi dziś na spotkanie klubu operowego, czyli zostaniemy sami. Możemy wybrać się na kolację, chyba że pracujesz do późna?

Zostawił jej otwartą furtkę, ale nawet nie przyszło jej do głowy, by z niej skorzystać.

- Przyjęcie zaczyna się przed południem, ale sprzątaniami zajmie się Samuel. O trzeciej powinnam być wolna.

- Wpadnę po ciebie.

- To za wcześnie na kolację.

- Jakoś zapełnimy czas.

Gina wsiadła do taksówki, którą Jack przyjechał, i wzdychając ciężko, oparła głowę o siedzenie.

- Następnym razem, jak ci powiem, że organizuję przyjęcie dla bandy ośmio- i dziewięciolatków, bądź łaskaw mnie zastrzelić.

- Było aż tak źle?

- Gorzej niż źle.

- Czyli nie masz ochoty na spacer Piątą Aleją?

- A wyglądam, jakbym miała siłę spacerować? - Popatrzyła na niego. - A ty sprawiasz wrażenie wypoczętego, jakbyś nic nie robił cały dzień. Szlag!

Roześmiał się. Postanowił nie zanudzać jej szczegółami swojego dnia, który rozpoczął się o 4:32 od telefonu z Departamentu Stanu. Centrum kryzysowe poinformowało go o tłumie demonstrantów przed amerykańską ambasadą w Islamabadzie. W Departamencie zastanawiano się, czy posłać na miejsce grupę antyterrorystów. Na szczęście demonstranci rozeszli się, zanim oddano strzały. Resztę dnia Jack spędził na czytaniu raportów i analizowaniu punktów zapalnych.

Chociaż kryzys został zażegnany, wiedział, że powinien wrócić do Waszyngtonu. Decyzją o pozostaniu do jutra w Nowym Jorku zaskoczył zarówno siebie, jak i Dale'a Vickersa. Poznał go, kiedy obaj studiowali w Kennedy School of Government na Harvardzie. Potem Dale wstąpił do służby zagranicznej, dziesięć lat spędził na placówkach. W końcu nasilające się ataki astmy zmusiły go do powrotu do kraju. Spędzał w pracy czternaście do osiemnastu godzin na dobę.

Jack doceniał poświęcenie i pracowitość Dale'a, zirytował go jednak ton niezadowolenia w głosie.

- Dziennikarze jeszcze nie odkryli twojego związku z panną St. Sebastian, ale nie wiem, jak długo zdołamy zachować go w tajemnicy.

- Ja się tym nie przejmuję. Ty też nie powinieneś.

- Łatwo ci mówić. Do moich obowiązków należy kontakt z mediami.

- Dale, wyluzuj. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, sam się wszystkim zajmę.

Na drugim końcu linii nastała pełna napięcia cisza. Jack domyślił się, że to nie koniec rozmowy. Miał rację.

- Może powinniśmy omówić, co na temat ciąży panny St. Sebastian mamy powiedzieć twojemu ojcu? Był zdumiony, kiedy zadzwonił i usłyszał, że przebywasz w Nowym Jorku.

- Po pierwsze - odrzekł chłodno Jack - nie życzę sobie, abys z kimkolwiek rozmawiał o moich sprawach osobistych. Po drugie, nie mamy nic do „omawiania”. Cięża Giny dotyczy wyłącznie jej i mnie. Nie dziennikarzy, nie ojca, nie Departamentu Stanu, nie ciebie. Jasne?

- Tak, oczywiście.

- To dobrze. Dam ci znać, na kiedy zarezerwuję bilet.

Fragmenty tej rozmowy dźwięczały Jackowi w głowie, gdy siedząc w taksówce, patrzył na rzęsy Giny. Kiedy przeniósł wzrok na jej fioletowe włosy, nagle ogarnął go niepokój: Boże, byleby nie wpaść na jakiegoś paparazzo. Wyobraził sobie minę ojca na widok Giny przebranej za postać z japońskiej mangi na okładce brukowca.

Mimo że wciąż nie mógł przeboleć śmierci Catherine, John Harris II starał się znaleźć synowi odpowiednią żonę, najlepiej z bogatej rodziny mającej polityczne koneksje. Od biedy mogłaby nie mieć tych koneksji. Ale Gina?

- O czym myślisz? - zapytała. Otrząsnął się z zadumy.

- Że jestem głodny. A ty? Najadłaś się pysznościami, które zamówiłaś dla tej swojej bandy ośmiolatków?

- Nie żartuj. - Wzdrygnęła się. - Od patrzenia na te słodkości robiło mi się niedobrze.

Odkąd zaszła w ciążę, zaczęła zwracać uwagę na to, co je. Całkowicie odstawiła alkohol. Po pierwszej wizycie u doktor Martinson zrezygnowała również z kofeiny, za to łykała witaminy z żelazem i kwasem foliowym. Dotąd nie miała żadnych zachcianek, chociaż... Hm, nagle poczuła ochotę na wielką bułkę z parówką i kiszoną kapustą.

- Może urządzimy sobie piknik? - spytała. - Przy Bryant Park facet sprzedaje soczyste hot dogi. Moglibyśmy z nimi usiąść w parku, pogapić się na ludzi...

- Świetnie.

Bryant Park stanowił uosobienie wszystkiego, co Gina kochała w Nowym Jorku. Usytuowany między Piątą a Szóstą Aleją był trójkątną wysepką zieleni pośród oceanu wieżowców. Od poniedziałku do piątku w godzinach lunchu ławki zajmowali pracownicy pobliskich biur. Chętni mogli pograć w ping-ponga, tryk-traka lub szachy. Zamiejskowych przyciągała do parku nieduża karuzela, darmowe koncerty, filmy pod gołym niebem oraz lśniące czystością toalety. Turyści z różnych stron świata, zmęczeni zwiedzaniem, tu łapali drugi oddech.

Późnym popołudniem było znacznie luźniej, łatwiej też było o stolik w ogródku restauracji. Ale Gina nastawiła się na hot doga. Poprosiła taksówkarza, by jechał wzdłuż parku, sama zaś uważnie wypatrywała aluminiowego wózka z wielkim żółtym parasolem.

- O, jest!

Zamówiła hot doga z podwójną porcją kiszzonej kapusty, Jack wolał wersję tradycyjną, z musztardą i ogórkiem. Po chwili przeszli do parku i usiedli na ławce pod drzewem.

- Mm, to prawie lepsze niż seks - rzekła po pierwszym kęsie.

Jack uniósł pytająco brwi.

- Powiedziałam „prawie”. - Gdyby miała za grosz rozumu, zamilkłaby. Ale nie, ona jak głupia paplała dalej: - Oczywiście od mniej więcej dwóch miesięcy nie mam skali porównawczej. - Odgryzła kolejny kawałek bułki.

- Możemy to naprawić - stwierdził Jack.

Dopiero po paru sekundach dotarło do niej, co powiedział. Zakrztusiła się.

- Odrobiłem lekcje - wyjaśnił, klepiąc ją między łopatkami. - „W Poradniku dla ojców” wyczytałem, że zwłaszcza w pierwszym trymestrze kobiety czują ogromny pociąg płciowy. I mężczyzna nie powinien popadać w kompleksy, jeśli nie jest w stanie zaspokoić potrzeb partnerki. - Nie sprawiał wrażenia, jakby bał się, że nie podała. Wprost przeciwnie. Oczy mu błyszczały, jakby rzucał Ginie wyzwanie.

Chciała je podjąć. Na sam widok jego pięknych, umazanych musztardą ust miała ochotę przysunąć się i... Żeby nie ulec pokusie, wypila duży łyk sprite'a.

- Dzięki za ofertę - powiedziała. - Będę o niej pamiętać, jak mi się wyczerpią baterie.

Zrobił taką minę, jakby sprawiła mu wielką przykrość, ale oczy mu się śmiały. Po chwili spoważniał.

- Gino, wiem, że zależy ci na związku opartym nie tylko na seksie. Mam nadzieję, że uda nam się go zbudować.

Przymknęła powieki. Miała uczucie, jakby stała nad przepaścią, a z każdą minutą spędzoną w towarzystwie tego mężczyzny ziemia coraz bardziej osuwała się jej spod nóg. Wystarczyłoby jedno małe pchnięcie, aby straciła dla niego głowę.

Niestety nie tylko głowę. Straciłaby wszystko: szacunek do siebie, dumę, nadzieję na to, że zdoła zarobić na swoje utrzymanie. Chciała udowodnić, że potrafi być - i będzie! - odpowiedzialną matką.

Psiakrew! Kogo próbuje oszukać? Wszystko by rzuciła, ze wszystkiego zrezygnowała bez wahania, gdyby Jack ją kochał. Dlatego nie zrezygnuje ze swojego życia.

- Na razie dobrze jest, jak jest - rzekła lekkim tonem. - Nie ma sensu niczego zmieniać.

Posłał jej spojrzenie, jakby nie do końca się zgadzał, ale milczał. Siedzieli na ławce, w promieniach słońca przedzierających się przez liście, i jedli hot dogi. A raczej Gina jadła; Jack odłożył swój na bok i sięgnął po puszkę coli. Pociągnął łyk, potem postawił puszkę na kolanie i w milczeniu obserwował dwóch młodzieńców grających w ping-ponga. Trzask piłki o rakiety mieszał się z melodią dochodzącą z karuzeli i z klaksonami aut na Szóstej Alei.

- Jak miło - rzekł po chwili. - Ostatnio coraz rzadziej zdarza mi się siedzieć w słońcu i nic nie robić.

- No.

Położył ramię na oparciu ławki.

- Często tu w dzieciństwie przychodziłaś?

- Tak.

Gdy zaintrygowany jej odpowiedziami odwrócił głowę, zobaczył, jak Gina pożera wzrokiem jego hot doga. Nawet się nie spieszyła, że ją na tym przyłapał.

- Chcesz to dokończyć? - spytała.

- Częstuj się. Albo mogę ci kupić świeżego z mnóstwem kapusty.

- Nie - odparła. - Ten mi wystarczy.

Dwa kęsy i było po hot dogu. Zadowolona oparła się plecami o ławkę i wyciągnęła przed siebie nogi.

- Wracając do twojego pytania... Nawet nie umiem powiedzieć, ile razy w miesiącu tu przychodziłam.

Maria przyprawiała mnie i Sarę na karuzelę, a zimą na lodowisko. Czasem dołączała do nas babcia.

- Niezwykła z niej kobieta.

- To prawda.

- Czy Charlotte i Sara to cała twoja rodzina?

- Mam jakichś odległych kuzynów w Słowenii. A może na Węgrzech? Albo w Austrii? Nie jestem pewna, komu po rewolucji przypadło księstwo Karlenburgh.

- Czy Charlotte odwiedziła rodzinne strony?

- Nie. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale wiem, że to by było dla niej zbyt bolesne.

- A ty? - Pociągnął ją za fioletowy kosmyk. - Byłaś w ojczyźnie babki?

- Nie, ale chciałabym tam kiedyś pojechać.

Przemknęło jej przez myśl, że mogłaby godzinami siedzieć w Bryant Park z głową na ramieniu Jacka, słuchać odgłosów ping-ponga, obserwować spacerujących turystów. Powieki coraz bardziej jej ciążyły. Pewnie zasnęłyby, gdyby Jack nie spytał:

- Co, znów zamierzasz mi zasnąć?

- Może.

- Dobra, ale najpierw ustalmy, kiedy przylecisz do Waszyngtonu. Moi rodzice chcą cię poznać.

Natychmiast się obudziła. Niewiele wiedziała o rodzinie Jacka, podejrzewała jednak, że nie przyjmą jej z otwartymi ramionami. A przynajmniej ojciec. Ale obiecała Jackowi, że się z nimi spotka, więc wyciągnęła telefon i sprawdziła swój kalendarz.

- W następny weekend jestem zajęta. Hm, odpowiada ci drugi weekend czerwca?

- Odpowiada. Wracaj spać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wylądowała w Waszyngtonie o tydzień wcześniej, niż obiecywała. Zmiana planów nastąpiła w czwartek rano, gdy Samuel wezwał ją do siebie.

- Nicole prosiła, żebyś wybrała się do Waszyngtonu. Masz rezerwację na drugą dwadzieścia.

- Na dziś?

- Tak. TTG organizuje jutro przyjęcie i przedpremierowy pokaz filmu dla dwustu gości.

- Elaine potrzebuje pomocy?

Elaine Patterson pracowała w waszyngtońskiej filii. Gina widziała tę szczupłą elegancką brunetkę, kiedy przyleciała do Nowego Jorku na spotkanie z Samuelem.

- Jej ojciec miał zawał, więc poleciała do niego do Oregonu. Z kolei jej zastępczyni trafiła na OIOM z ostrym zapaleniem trzustki. Reszta zespołu to dzieciaki, nie poradzą sobie. Nicole prosi, żebyś nimi pokierowała. - Przesunął w stronę Giny teczkę. - Tu masz wszystkie informacje: program, menu, rozkład pomieszczeń, listę dostawców, numery kontaktowe. Zatrzymasz się w naszym apartamencie dla nowożeńców.

- Ale...

- Wiem, po południu jesteś umówiona z klientem. Zastąpię cię.

- A sobotnie przyjęcie Hanrahana z okazji jego przejścia na emeryturę?

- Przeglądałem dokumentację. Wszystko jest prawie gotowe. Dopnę ostatnie szczegóły i poproszę Kallie, żeby mnie w sobotę wsparła.

Gina zamyśliła się. Gdyby Maria miała czas zajrzeć w niedzielę do Charlotte, mogłaby przedłużyć pobyt w Waszyngtonie o dzień lub dwa. I spędzić je z Jackiem! Serce zabiło jej mocniej. Skinęła głową.

- W poniedziałek mam spotkanie - rzekła. - Jeśli przesunę je na inny dzień, czy mogę wrócić we wtorek?

- Możesz. A teraz bierz d... w troki i zmykaj.

No to wzięła. Jadąc taksówką, zadzwoniła do Marii, która oznajmiła, że z przyjemnością wpadnie do księżnej w niedzielę po południu. Natomiast babka, gdy ją Gina o tym poinformowała, wyraziła sprzeciw.

- Nie jestem niedołączna, Eugenio. Maria naprawdę nie musi mnie odwiedzać.

- Robi to dla mnie. Żebym ja była spokojna.

- Niepotrzebnie ją fatygujesz.

- Babciu, proszę. Pewnie zostanę w Waszyngtonie kilka dni. Jack chce, żebym poznała jego rodziców.

- Ach, tak? - Księżna spojrzała uważnie na wnuczkę. - Dobrze, że już nie paradujesz z fioletową głową.

Bardzo dobrze, pomyślała Gina, pędząc do sypialni. Szybko spakowała do niedużej walizki kosmetyki, wyszywany cekinami żakiet smokingowy, eleganckie czarne spodnie oraz kilka rzeczy na co dzień.

- Zadzwoń - obiecała, całując babkę w policzek.

Na dole wsiadła do taksówki i pojechała na La Guardię. Po drodze zadzwoniła do Jacka. Nie odebrał, więc zostawiła wiadomość. Na wszelki wypadek zadzwoniła też do biura. Połączono ją z Vickersem. Poprosiła go, aby przekazał Jackowi, że jest w drodze do Waszyngtonu.

- Oczywiście, panno St. Sebastian - rzekł uprzejmym, choć zimnym tonem szef gabinetu.

Miała ochotę spytać faceta, o co mu chodzi, ale podejrzewała, że zna odpowiedź.

Dotarła na lotnisko w ostatniej chwili. Kiedy opadły z niej emocje, a samolot wzbił się w powietrze, zamknęła oczy i oparła głowę o fotel. Obudził ją głos stewardesy, która mówiła, że za kilka minut samolot wylądjuje na lotnisku Ronalda Reagana. Gina przetarła oczy. W dole widziała słynne waszyngtońskie pomniki.

Energicznym krokiem przeszła przez lotnisko, ciągnąc za sobą walizkę. Był piękny czerwcowy dzień, tylko powietrze zatruwały spaliny samochodów i taksówek.

Wiedziała, dlaczego jest taka podekscytowana. To, że Nicole powierzyła jej nadzór nad ważną imprezą w Waszyngtonie, sprawiło, że przestała w sobie wątpić. No i jeszcze drugi powód: Jack. Wydobywszy z torebki telefon, przestawiła go z trybu samolotowego na normalny. Uśmiechnęła się, widząc esemes: „Vickers przekazał wiadomość. Zadzwon, jak wylądujesz”. Kierując się w stronę agencji wynajmu aut, wystukała jego numer. Odebrał po drugim dzwonku.

- Jesteś?

Na dźwięk jego głosu zrobiło jej się gorąco.

- Przed chwilą wylądowałam.

- To dość nieoczekiwana wizyta. Co cię sprowadza?

Przynajmniej raz w życiu ugryzła się w język, zanim wypaplała całą prawdę. Nie musi wiedzieć, że to z jego powodu tak chętnie przyjęła propozycję Nicole.

- Zastępstwo. Muszę dopilnować, żeby pewna impreza przebiegła bez zakłóceń.

- Jaka impreza?

- Przyjęcie koktajlowe oraz przedpremierowy pokaz filmu z Dirkiem Westem.

Nie była amatorką filmów akcji z mnóstwem wybuchów i strzelaniny, w jakich West się specjalizował, ale każdy przynosił jego twórcom miliony dolarów.

- Gospodarzem jest Global Protective Services...

- Jedna z największych firm ochroniarskich na świecie - dokończył Jack. - Mają więcej ludzi w Afganistanie niż armia amerykańska. Plotka głosi, że to GPS sfinansowało film.

Gina spojrzała na tablicę Hertza, szukając numeru miejsca na parkingu z zarezerwowanym dla siebie autem.

- Więc jutrzejsza impreza jest dla takich ludzi jak ty - powiedziała, ruszając wzdłuż zaparkowanych aut.

- Ale nie widziałam twojego nazwiska na liście gości.

- Bo podziękowałam za zaproszenie. Ale może zmienię zdanie, skoro ty tam będziesz.

- Jasne. - Roześmiała się. - Miejsca przy stołach przygotowane, ale co tam, kilka osób więcej, kilka mniej, niech się organizatorzy martwią.

- Nie będę nic jadł - obiecał z powagą Jack. Dotarła do samochodu i rzuciła torbę na fotel pasażera.

- Okej, dopiszę cię do listy gości.

- Świetnie. A co robisz dzisiaj?

- Muszę porozmawiać z tutejszymi pracownikami TTG. - Wsiadła do auta. - Zorientować się, co i jak.

- Dużo czasu ci to zajmie?

- Nie mam pojęcia. - Zawahała się. Mówić Jackowi o tym, że przedłużyła pobyt w Waszyngtonie? - Wspomniałam Samuelowi, że może zostanie kilka dni dłużej. Gdybyś miał czas i gdyby to odpowiadało twoim rodzicom, moglibyśmy do nich wpaść.

- Znajdę czas, a do nich zadzwonię. Gdzie nocujesz?

- W L'Enfant Plaza. Tremayne Group wynajmuje tam apartament dla nowożeńców.

- Dla nowożeńców? - Jack ściszył głos do szeptu. - Masz ochotę na towarzystwo?

Oj, tak! Ścisnęła mocno telefon. Oczami wyobraźni zobaczyła dwa nagie, spocone ciała.

- Miło, że proponujesz - rzekła - ale nie, dziękuję. Była zawiedziona, że Jack nie nalegał.

- I nie dasz rady wymknąć się dziś na godzinę lub dwie, żeby zjeść ze mną kolację?

Przez moment znów toczyła z sobą zaciętą walkę. Dawna, lubiąca zabawę Gina bez wahania by się zgodziła. Nowa, wciąż lubiąca zabawę, ale bardziej odpowiedzialna, westchnęła ciężko.

- Przykro mi, Jack. Dzisiejsze popołudnie i wieczór muszę poświęcić pracy.

- Rozumiem. Zatem do zobaczenia jutro.

Rozłączył się, obrócił na fotelu i utkwił spojrzenie w oknie. Jako ambasadorowi przysługiwał mu gabinet w głównej części Departamentu Stanu na C Street.

Budynek wzniesiony w latach trzydziestych ubiegłego wieku początkowo przeznaczony był dla Departamentu Wojny, ale Departament Wojny w 1941 roku przeniesiono do Pentagonu, a na C Street wprowadził się Departament Stanu. Siedząc przy biurku i wytężając wzrok, Jack widział National Mall z pomnikiem Waszyngtona na jednym końcu i pomnikiem Lincolna na drugim.

Teraz ten widok nieszczerze go interesował. Jego myśli oscyływały wokół Giny. Spędził ponury ranek, analizując raporty z dwudziestu lat na temat ataków na amerykańskie placówki dyplomatyczne. Przylot Giny, jej głos w słuchawce i śmiech poprawiły mu humor.

Odchylił się na fotelu. Wciąż miał przed oczami jej niebieskie oczy, pełne wargi, burzę jasnych loków. Po chwili przypomniał sobie fiolet na jej głowie. O Chryste, a jeśli go nie zmyła? Rodzice, zwłaszcza ojciec, przeżyją szok. Uśmiechając się, wybrał ich numer.

Nazajutrz przywiózł smoking do biura, wieczorem przebrał się w pracy. Nie mogąc doczekać się spotkania z Giną, przyjechał do L'Enfant Plaza przed czasem.

Hotel, nazwany na cześć francuskiego architekta, który na zlecenie prezydenta Waszyngtona opracował plan urbanistyczny stolicy, idealnie nadawał się do urządzania w nim wszelkiego rodzaju imprez. Plac przed hotelem otaczały z trzech stron urzędy, agencje rządowe, sklepy. Na środku znajdowała się szklana piramida, identyczna jak ta przed Luvrem. Wieczorem okoliczne biura pustoszały, w podziemnych garażach zaproszeni goście bez trudu mogli zaparkować auta. Na miejsce można było też dotrzeć metrem. Właśnie ten środek transportu wybrał Jack. Ruchomymi schodami wjechał na górę. Na drzewach po obu stronach placu paliły się białe światełka. Wokół podświetlonej piramidy ustawiono bufety.

Ze dwa tuziny przybyłych wcześniej gości rozmawiało w grupkach. Jack ruszył w stronę jednego z barów przy piramidzie. Rozglądał się za Giną, ale nigdzie nie widział kobiety z burzą jasnych lub fioletowych loków. Baru nikt nie obsługiwał. Zerknął na pozostałe: tylko przy jednym zauważył barmana. Facet uwijał się jak w ukropie, nalewając alkohol do szklanek i kieliszków, które kelnerzy roznosili wśród gości.

Zdziwiło Jacka, że trzy spośród czterech barów są nieczynne. Nagle z hotelu wyłoniła się Gina, mężczyzna w białej koszuli i czarnej kamizelce oraz pulchna dziewczyna ze słuchawką przy uchu. Mężczyzna skierował się do jednego baru, dziewczyna do drugiego, Gina do tego, przy którym Jack stał.

- Brakuje rąk do pracy? - spytał, kiedy zaczęła wyciągać z lodówki schłodzone butelki szampana.

- Co najmniej kilku - przyznała.

Wsunął się za bar. Skinęła głową z wdzięcznością i wskazała na butelki. Podczas gdy on je otwierał, ona szykowała kieliszki.

- Powinam być teraz w środku, sprawdzać miejsca dla gości. Cholera! Zmarnowałam dwadzieścia minut, rozmawiając przez telefon z facetem zarządzającym obsługą. Nie zjawili się barmani, obiecał, że przyśle zastępstwo. Więcej TTG nie będzie z nim współpracowało. - Oczy płonęły jej dzikim blaskiem. - Oby tylko ci zastępcy przyjechali, zanim zwałą się tłumy - mruknęła, nalewając szampana do kieliszków.

- Wątpię, czy zdążą. - Jack popatrzył w stronę wind, z których wylewała się rzeka ludzi.

- Szlag! - Postawiwszy kieliszki na tacy, Gina przywołała kelnera. - Jesteś pełnoletni?

- Tak.

- To bierz tacę i częstuj gości.

- Ale ja jestem od roznoszenia jedzenia.

- Jedzenie będziesz nosił później, a na razie bierz drinki!

Wcisnęła młodzieńcowi tacę do ręki i zaczęła ustawiać na ladzie kolejne kieliszki. Jack spojrzał za siebie na kolekcję trunków.

- Słuchaj, umiem przyrządzać koktajle. Zostanę przy barze, a ty leć załatwiaj te swoje pilne sprawy.

- No co ty! - oburzyła się. - Jesteś gościem.

- Leć! Poradzę sobie.

Widział emocje malujące się na jej ekspresyjnej twarzy. Po chwili spodobała jej się myśl, że John Harris Mason III będzie serwował drinki na imprezie dla Global Protective Services.

- Dobra - zgodziła się ze śmiechem. - Oby tylko Nicole się o tym nie dowiedziała, bo spierze mi tyłek.

- Byłoby szkoda takiego ładnego tyłeczka. - Nie oparł się pokusie i poklepał ją lekko po wspomnianej części ciała. - Nie martw się, skarbie. Nikt ci nic nie spierze.

Odkoczyła i starała się przybrać srogą minę.

- Jak śmiesz mnie poklepywać?

Chętnie by znów poklepał, a najchętniej to zaciągnąłby ją do apartamentu dla nowożeńców. Ale akurat w tym momencie Thomas Dillon, siwowłosy senator z Wirginii, oddzielił się od grupki gości i podszedł do baru.

- Jack? - Przeniósł spojrzenie z Jacka na Ginę i z powrotem na Jacka. Nie rozumiał, co człowiek, który jest ambasadorem, robi za barem. - Wydawało mi się, że to ty. Jak tam twój ojciec?

- Świetnie, dziękuję. Czego się napijesz, Tom?

- Czego...?

- Dorabiam jako barman. Na co masz ochotę?

Mimo fatalnego początku reszta wieczoru przebiegła gładko. Większość gości to byli zblazowani mieszkańcy Waszyngtonu, którzy regularnie chodzą na tego typu imprezy i rzadko ich coś zachwyca, ale Jack słyszał, jak parę osób chwaliło dzisiejsze przyjęcie.

Niedługo zabawiał się w barmana. Ci prawdziwi, przysłani w zastępstwie, zjawili się po kwadransie. Porzucił swoje tymczasowe zajęcie i wmieszał się w tłum. Może goście byli zblazowani, ale wyraźnie ożywili się na widok Dirka Westa. Gina, która akurat wróciła na plac, stanęła koło Jacka.

- O rany - szepnęła, spoglądając na wysokiego muskularnego aktora o ogolonej na łyso głowie. - Na żywo wygląda jeszcze groźniej niż na ekranie.

West krążył od jednej grupki do drugiej, witając się z gośćmi, sprawiał jednak wrażenie, jakby wiedział, gdzie stoją ci najważniejsi. Niewątpliwie pomagał mu w tym prezes Global, który nie odstępował go na krok.

- A to jest ambasador John Harris Mason - rzekł prezes - który kilka lat temu, w Mali stawiał czoło rebeliantom.

- Czytałem o tym. - West zmiądzzył w uścisku rękę Jacka. - Może kiedyś przyślę do pana scenarzystę po jakieś szczegóły, które nie trafiły do prasy.

Szkoda fatygi, mógłby mu powiedzieć Jack, większość szczegółów wciąż objęta była tajemnicą, ale zanim otworzył usta, aktor skierował wzrok na Ginę.

- A to kto?

Przypięty do zakietu identyfikator zawierał odpowiedź, ale West zdawał się go nie widzieć.

- Gina St. Sebastian - przedstawiła się. - Pracuję dla Tremayne Group, która przygotowała to przyjęcie.

West powiódł po niej spojrzeniem.

- Nie myślała pani o aktorstwie, panno St. Sebastian?

- Kiedyś nawet mnie korciło.

- Gdyby znów zaczęło, proszę do mnie zadzwonić. Szefa Global bardziej interesowały koneksje Jacka niż aktorskie ambicje Giny.

- Podobno w przyszłym tygodniu będzie pan omawiał bezpieczeństwo naszych ambasad w senackiej komisji do spraw wywiadu. Mam parę przemyśleń na ten temat.

- Nie wątpię.

- Chętnie przedyskutowałbym je z panem. Poproszę moich ludzi, żeby nas umówili. - Po tych słowach przeszedł z Westem do następnej grupy gości.

- Rozmawiałem z rodzicami - powiedział Jack do Giny, kiedy zostali sami. - Jutro mama prowadzi aukcję charytatywną, więc obiecałem, że wpadniemy do nich w niedzielę na lunch.

- Świetnie.

- Czyli jutro mam cię wyłącznie dla siebie.

Gina zaczęła protestować, ale nagle dojrzała pulchną brunetkę, która machała do niej z drugiego końca sali.

- Muszę iść, zaraz się zacznie pokaz filmu. - Obdarzyła Jacka promiennym uśmiechem. - Dzięki za pomoc przy barze. Przypomnij, żebym ci zapłaciła.

- Przypomnę. Z całą pewnością ci przypomnę.

Wszedł do sali kinowej, fantazując o różnych formach zapłaty. Rozmyślał o nich, patrząc na ekran, na którym Dirk West samodzielnie próbował uratować świat przed siłami zła. Kiedy kilka godzin później Gina zaprosiła go do apartamentu dla nowożeńców, rzeczywistość okazała się lepsza od najśmielszych marzeń.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Tłumaczyła Jackowi, by nie czekał, bo ona musi wszystko posprawdzać. Naprawdę nie chciała, by tracił czas. Ale w głębi duszy ucieszyła się, gdy powiedział, że nigdzie się bez niej nie ruszy.

Dlatego potem zaprosiła go na górę. Kiedy jednak weszli do elegancko urządzonego apartamentu, tylko na jedno miała ochotę: usiąść na kanapie, zrzucić buty i wyciągnąć nogi. Tak też zrobiła.

- Niezły widok - oznajmił Jack, siadając obok.

Za oknem widać było oświetloną kopułę Kapitolu.

- Uhm - zamruczała w odpowiedzi.

Niewiele do niej docierało, była wyczerpana. Jack pozbył się muszki, rozpiął guzik pod szyją, po czym poklepał się po kolanach.

- Daj.

Oprzytomniała. Nie wiedziała, o co Jackowi chodzi, przestraszyła ją jednak reakcja własnego ciała.

- Nie bój się - dodał. - Podobno wykonuję doskonały masaż stóp.

O tak! Nic a nic nie przesadził. Po dziesięciu sekundach ogarnął ją stan błogości.

- Jeśli kiedykolwiek znudzi ci się obecna praca, mógłbyś zarabiać krocie na masażu.

- Będę to miał na uwadze.

- Swoją drogą, czym zamierzasz się w przyszłości zająć? - Przyglądała mu się spod przymkniętych powiek.

- Dobre pytanie - odparł.

- Zdaniem tych ludzi z niezależnych komitetów wyborczych nadajesz się na prezydenta.

- Musiałbym najpierw ubiegać się o urząd publiczny. Do tej pory byłem zawodowym biurokratą.

- Jasne. Ciekawe, ilu zawodowych biurokratów staje do walki z uzbrojonymi terrorystami?

- Niestety zbyt wielu. A wracając do prezydentury: nikt nie zostaje prezydentem ot tak. Pomijając Waszyngtona i Eisenhowera, pozostali nasi przywódcy byli wcześniej gubernatorami albo członkami Kongresu.

- No to postaraj się o urząd gubernatora albo kongresmana. Ktoś powinien w końcu zaprowadzić porządek.

- Czy ja dobrze słyszę? - Pociągnął ją ze śmiechem za duży palec. - Tak entuzjastyczne poparcie od kobiety, która nazwała mnie arogansem i sztywniakiem?

- Bo czasami jesteś spięty i zarozumiały. A czasami... - Wykonała w powietrzu nieokreślony ruch. - Czasami mnie zaskakujesz. Choćby dzisiaj, kiedy stanąłeś za barem.

- Mam wiele ukrytych talentów. A propos talentów... Obiecałaś mi zapłatę.

- To prawda. Zastanawiałeś się, co chciałbyś dostać?

- Oj, mała, o niczym innym nie myślałem.

W jej głowie zapaliło się czerwone światełko. Wiedziała, że igra z ogniem, ale nie umiała się powstrzymać. Zabrała nogi, wsunęła je pod siebie i uniosła się na kolana. Popatrzyła w milczeniu na Jacka. Opalona skóra, zmarszczki w kącikach oczu... Uczucie zmęczenia znikło. Przycisnęła usta do widocznej nad rozpiętym guzikiem szyi Jacka, po czym przesunęła się wyżej do brody z kłującym zarostem, do miękkich warg.

Odwzajemnił pocałunek. Od pierwszej sekundy całował ją mocno i namiętnie. Potem ułożył ją na kanapie, a sam położył się na niej. Kolanem rozsunął jej uda, delikatnie odgarnął włosy z twarzy. Czowała, jak jego członek twardnieje. Przeniknął ją żar. Zaczęła rozpinać koszulę Jacka, wyciągać ją ze spodni. Nie zauważyła, kiedy ręka Jacka powędrowała do jej talii. Rozpiął wyszywany cekinami żakiet, który pożyczyła od Sary, odsunął jego poły i nagle zamarł w bezruchu.

- O Boże! - jęknął. Z błyskiem pożądania w oczach pogładził koronkową miseczkę stanika. - Całe szczęście, że nie wiedziałem, co się kryje pod tymi cekinami. Już i tak nie mogłem wysiedzieć na tym filmie.

Gina spojrzała w dół z mniejszym entuzjazmem. Czarny stanik z jedwabiu i koronki ciasno opinał jej piersi.

- Powiększyły się o jeden rozmiar - mruknęła. - Nie mieszczę się w staniki.

Wyczuwając jej niezadowolenie, przezornie milczał. Zresztą i tak by go pewnie nie słyszała. Wystarczyło, że leciutko potarł sutek, a Gina się wygięła. A gdy odsunął koronkę i zacisnął zęby na różowym czubku, o mało nie zwariowała z rozkoszy. Ponownie się wygięła, napierając na niego piersią. Nie miał nic przeciwko temu.

- Nie, poczekaj! Jack, poczekaj! - Próbowała się odsunąć.

- Przepraszam - powiedział. - Zapędziłem się. Moje usługi barmańskie aż tyle nie są warte.

Kiedy zamierzał z niej zejść, Gina chwyciła go za klapy smokingu i przytrzymała w miejscu.

- Te drobne pieścizoty nawet w połowie nie pokrywają zapłaty. Ja... po prostu uznałam, że moglibyśmy zrzucić z siebie coś więcej.

Przyjrzał się jej badawczo. Oboje wiedzieli, że nie ograniczą się do pieścizot. Skinął z uśmiechem głową.

- Okej, ja zacznę - oznajmił.

Marynarka wylądowała na podłodze. Po chwili dołączył do niej pas smokingowy i koszula. Gina wstała. Jej dłonie natychmiast przylgnęły do jego torsu.

Zsunął jej z ramion cekinowy żakiet, następnie odpiął czarne aksamitne spodnie. Musiał wykazać się ogromną samokontrolą, gdy zobaczył głęboko wcięte figi odkrywające prawie całe pośladki. Zacisnął ręce na krągłościach i przyciągnął Ginę do siebie. Kiedy poczuła na brzuchu jego członek, oczy jej się zaiskrzyły, a policzki okryły rumieńcem.

- Zapłata musi być - szepnęła. - Ale to, że się prześpimy, niczego między nami nie zmienia.

Tak, jasne, pomyślał i zgarnawszy ją w ramiona, skierował się do sypialni.

Dekoratorzy z Tremayne Group wspaniale się spisali, urządając sypialnię dla nowożeńców. Olbrzymie łóżko stało na podwyższeniu, przykrywała je kołdra w kolorze gorzkiej czekolady. Przy miękkim wezgłowie

leżał z tuzin czekoladowych i błękitnych poduszek. Ustawione w rogu lampy rzucały ciepły, lekko przyćmiony blask, a z kryształowej misy unosił się delikatny zapach wanilii.

Jack instynktownie zwrócił uwagę na te drobiazgi, tak był wyszkolony. Czujność nieraz pozwoliła mu ujść z życiem i wywieść wroga w pole. Kiedy jednak położył Ginę na łóżku, zapomniał o czujności, zapomniał o bożym świecie. Patrząc na jej włosy, które wyglądały jak złociste jezioro, na jej roziskrzane oczy i ponętne ciało, myślał tylko o jednym. Pośpiesznie pozbył się spodni, skarpet, bokserek i wyciągnął obok niej.

- Jesteś niewiarygodnie piękna - rzekł, gładząc jej płaski brzuch.

Roześmiała się wesoło.

- Pochlebstwem, ambasadorze, daleko pan zajdzie.

Wsunął rękę pod koronkowe figi. Była mokra, gorąca. Kiedy przywarł ustami do jej ust, uświadomił sobie, że pragnie być tylko tu, z tą kobietą, że pragnie ją całować, pieścić, dotykać, doprowadzać do rozkoszy.

Zdarł z niej bieliznę brutalniej, niż zamierzał. Mocnym ruchem rozchylił jej nogi. Kiedy zacisnęła je wokół jego pasa i uniosła biodra, nie potrafił nad sobą zapanować. Wszedł w nią. Kierowała nim niemal atawistyczna potrzeba udowodnienia wszystkim, że Gina należy do niego. Potrzeba, by zostawić w niej swoje nasienie... Tyle że wcześniej już to zrobił. Nagle znieruchomiał. Chryste, co w niego wstąpiło? Potrząsając głową, oparł się na łokciu. Po chwili zauważył minę Giny.

- Co się stało?

- Nasze dziecko...

- Nic mu nie jest. Przestań gadać!

Zacisnęła mocniej nogi, potem mięśnie. Wykonał jedno pchnięcie, drugie, trzecie...

W końcu wstali, bo ile godzin można spędzić w łóżku? Prędzej czy później każdy potrzebuje chwili odpoczynku. Ponieważ z wizytą do jego rodziców w Richmond mieli jechać dopiero nazajutrz, Jack zaproponował Ginie, że pokaże jej swoje ulubione miejsca w Waszyngtonie.

- Świetnie. Ale pod warunkiem, że pokażesz mi też, gdzie mieszkasz i gdzie pracujesz.

Oczywiście. Wyjeżdżając z Nowego Jorku, spakowała ubranie na kilka dni, ale on musiał się przebrać, logiczne więc było, że najpierw pojedą do jego domu.

Mieszkał w Georgetown, w murowanym dwupiętrowym domu o czarnych okiennicach i drzwiach z mosiężną kołatką w kształcie końskiego łba. Na stoliku w holu stało oprawione w ramki czarno-białe zdjęcie Catherine. Gina przystanęła i utkwiała w nim wzrok. Jack przystanął obok. To było jedno z jego ulubionych zdjęć żony. Zrobił je po kolejnym przegranym meczu tenisa. Catherine, która uwielbiała rywalizację, stała uśmiechnięta z rakiętą opartą o ramię. Włosy miała związane w kucyk, oczy lśniące.

- Wygląda na silną kobietę - szepnęła Gina.

- Tak, była silna.

Nawet za bardzo, przemknęło mu przez myśl. Miała niespożytą energię, niesamowity umysł prawniczy, ogromną pasję do polityki. Z trudem dotrzymywał jej kroku i często marzył o tym, aby wreszcie pozwoliła sobie na chwilę relaksu, po prostu cieszyła się życiem.

Poczuł wyrzuty sumienia. Starając się od nich uwolnić, poszedł się przebrać. Ginę zostawił samą. Zszedł na dół pół godziny później ogolony, ubrany w dżinsy i bluzę.

- Chcesz teraz wpaść do mnie do biura? - spytał. - Niewiele tam jest do zobaczenia, ale jeśli cię to interesuje.

Zmusiła się do uśmiechu. Widok zdjęć Catherine podziałał na nią trochę deprymująco. Na jednych Catherine była sama, na innych razem z Jackiem. Młodzi, inteligentni, ambitni.

A co ona sobą reprezentuje? Nic. Dopiero od niedawna usiłowała się jakoś bardziej „zakotwiczyć”. Wcześniej ciągle zmieniała pracę, a także mężczyzn. Wiodła ożywione życie towarzyskie, polityka jej nie pociągała. Czy Jack mógł kogoś takiego darzyć szacunkiem?

Przykryła swoje wątpliwości uśmiechem.

- Bardzo interesuje.

- No dobra, tylko nie mów, że cię nie ostrzegałem.

Sceptycznie potraktowała słowa Jacka. I słusznie, uznała, kiedy idąc wyłożonym marmurem korytarzem, doszli do jego imponującego biura.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciła uwagę, był wspaniały widok z okna. Drugą był człowiek w dzinsach, żółtej koszuli i okrągłych okularach pochylony nad komputerem. Właściwie nie powinna się dziwić, że podwładni Jacka pracują również w weekendy.

- Miło cię wreszcie poznać, Dale - powiedziała, kiedy Jack przedstawił jej szefa gabinetu.

Starła się nie okazać antypatii, jaką w niej wzbudził podczas pierwszej rozmowy telefonicznej. Na ogół unikała oceniania ludzi po wyglądzie, ale... Jej zdaniem facet cierpiał na kompleks Napoleona. Niewysoki, z niskim poczuciem wartości, ciągle gotów do walki. Skinął Ginie na powitanie, po czym spojrzał zdziwiony na szefa.

- Nie wiedziałem, że dziś się tu pojawisz.

Co za dupek, pomyślała. Nie rozumiała, dlaczego Jack toleruje kogoś takiego, dopóki nie zobaczyła zdjęcia na biurku Dale'a. Przedstawiało Dale'a, Catherine i Jacka. Stali objęci, w identycznych czerwonych bluzach z logo Harvardu, uśmiechając się do aparatu.

Catherine Mason towarzyszyła jej właściwie przez cały dzień. Udało jej się nie myśleć o zmarłej żonie Jacka jedynie podczas zwiedzania Departamentu Stanu oraz później, gdy korzystając z pięknej czerwcowej pogody, wybrali się na spacer wzdłuż rzeki.

Po spacerze zajrzeli do paru ekskluzywnych butików, wieczorem zaś Jack zaprosił ją do swojej ulubionej tajskiej restauracji. Uradowany właściciel uścisnął jego dłoń.

- Panie ambasadorze! Dawno pana nie gościliśmy!

- To prawda, panie Preecha.

Szczupły Azjata obejrzał się i uśmiechnął szeroko.

- Życzy pan sobie stolik przy oknie?

Jack przedstawił Ginę. Widać było, że mężczyzna próbuje poskromić ciekawość, ale nie udało mu się.

- Często przychodziliście tu z Catherine? - spytała Gina, kiedy zajmą miejsca, zamówili coś do picia.

- Nie. Zmarła cztery lub pięć miesięcy po naszej przeprowadzce do Waszyngtonu. Lubisz *shumai*?

Podają je z ryżem i sosem sezamowo-imbrowym. Będziesz się czuła jak w Bangkoku.

Zauważyła, że specjalnie zmienił temat.

- Nie mam zielonego pojęcia, co to jest *shumai* i nigdy nie byłam w Bangkoku, ale wierzę ci na słowo.

Okazało się, że *shumai* to gotowane na parze chińskie pierożki z siekaną wołowiną, kurczakiem lub krewetkami. Oprócz pierożków Jack zamówił gotowany na parze ryż, smażone na złocisty kolor trójkąty z tofu, jakieś warzywo korzeniowe, którego nazwy nie potrafiła wymówić, oraz herbatę. Wyszła z restauracji syta niczym karmiony raz na miesiąc pyton, który właśnie skonsumował posiłek. Była zbyt objedzona, aby dłużej spacerować po Georgetown lub mieć siłę i ochotę na seks. Kiedy ze smutkiem wyznała to Jackowi, roześmiał się i obiecał, że wszystkim się zajmie.

Dotrzymał słowa. Gdy wyczerpany padł na materac, pościel była skłębiona, a Gina czuła się w pełni ukontentowana.

Drugą noc z rzędu zasnęła w ramionach kochanka i drugi raz powitała dzień w cudownym ciepłym kokonie. Budziła się powoli; zapach Jacka wdierał się jej do nozdrzy, owłosienie na torsie łaskotało ją w nos. Czuła się dobrze i bezpiecznie. Na swoim miejscu.

Ni stąd, ni zowąd, choć wcale o niej nie myślała, przed jej oczami znów pojawiła się Catherine. Przez moment nawet miała wrażenie, że żona Jacka stoi obok i patrzy na nich. Nie była zła ani przybita widokiem męża z inną kobietą, ale nie była też szczęśliwa.

- No, pora wstawać - powiedział Jack. - Niedzielny lunch to długa tradycja w rodzinie Masonów - dodał, odgarniając Ginie włosy z czoła. - Myślę, że dziś będziemy tylko my i moi rodzice, ale nigdy nic nie wiadomo.

- Teraz mi to mówisz? - przeraziła się. Spokojnie, dasz radę, powtarzała sobie w duchu, biorąc prysznic, potem susząc włosy i się malując. Dzielnie stawia czoło ojcu i matce Jacka, którzy na pewno uwielbiali jego żonę. Psiakość! Głowę by dała, że w zaparowanej łazience słyszy ironiczny śmiech Catherine.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Na ogół w niedzielne poranki panował w Waszyngtonie nieduży ruch. Prowadząc range rovera po niemal pustych ulicach, Jack skręcił na 14th Street Bridge. Po waszyngtońskiej stronie mostu wznosił się pomnik Jeffersona, po stronie Wirginii dominowała szara granitowa bryła Pentagonu. Zamiast jechać autostradą, Jack wybrał starą jedynekę. Tuż za Woodbridge zatrzymał się na parkingu przed Gas Pump Café.

- Do lunchu siądziemy pewnie między pierwszą a drugą, a tu dają najlepsze naleśniki w tej części kraju.

Gina przyjrzała się odrapanej ruderze. Przed wejściem stała zardzewiała pompa paliwowa licząca ze sto lat. Na ścianach wisiały równie zardzewiałe tablice reklamujące wszystko, poczynając od napojów firmy Nehi i tabaki Red Coon, a kończąc na oleju silnikowym Gargoyle. Ze środka wydobywał się zapach smażonego bekonu i kiełbasek.

Dopiero gdy usiedli przy drewnianym stole, zdała sobie sprawę, że Jack zdecydował się na postój z uwagi na nią. Najwyraźniej uważał, że grzanka, którą zjadła na śniadanie, to za mało jak na kobietę w ciąży. Miał rację. Zamówiła dwa naleśniki polane sosem, dwa jajka sadzone i szklankę soku pomarańczowego. Gdy wyszli z lokalu kilka minut po dziewiątej, wiedziała, że spokojnie wytrzyma do pierwszej czy drugiej.

Pełny brzuch sprawił też, że przestała się bać spotkania z Masonami.

- Smakowało, maluszku? - spytała, gładząc się po brzuchu. - Bo mnie tak.

Jack uśmiechnął się.

- Zastanawiałaś się nad imieniem?

- Charlotte, jeśli to będzie dziewczynka - odparła.

- A jeśli chłopiec?

Domyśliła się, o co mu chodzi. Otóż gdyby udało się Jackowi namówić ją do małżeństwa, niewątpliwie chciałby, by syn kontynuował tradycję Masonów i został kolejnym Masonem z numerem po nazwisku - Johnem Harrisem Masonem IV. Zaczęła się zastanawiać, czy jest wredną żoną. Czy koniecznie musi wszystkim udowodniać, że doskonale sobie poradzi w roli samotnej matki? Siedzący obok przystojny, wykształcony, bogaty mężczyzna pragnął zaopiekować się nią i dzieckiem. Dlaczego miałyby mu nie pozwolić?

Westchnęła. Dlatego, że byłaby na siebie wściekła za pójście na łatwiznę. Tak dotąd funkcjonowała. Ilekroć traciła coś zainteresowanie, zostawiała to i odchodziła. Ale od macierzyństwa nie było ucieczki, nie chciała też rezygnować z pracy, w której - jak odkryła - była całkiem dobra. Nawet świetna. Z drugiej strony, czy musiałyby rezygnować? Firma ma również filie w Waszyngtonie.

Oczywiście to tylko rozważania. Bo głównym powodem jej niechęci do małżeństwa był fakt, że Jack jej nie kocha. Wcale tego nie ukrywał. Chociaż... po spędzeniu razem ostatnich dwóch nocy zaczęła się zastanawiać, czy uczucie, jakim się darzą, jednak nie wystarczy.

- Jeszcze o tym nie myślałam - odparła lekkim tonem. - Opowiedz mi o swoich rodzicach: gdzie się spotkali, jak długo są małżeństwem, co lubią robić.

Przez resztę drogi snuł opowieść o Ellen i Johnie. Przedstawił ich jako ludzi pełnych poświęcenia i kochających tradycję: matka od lat działała w organizacjach charytatywnych, ojciec służył kolejnym prezydentom. Gina pewnie czułaby się lekko onieśmielona, gdyby wcześniej nie słuchała opowieści Charlotte o znanych postaciach z kręgów literacko-towarzyskich, z którymi babka zadawała się w młodości. I gdyby nie była lady Eugenią Amalią Therése St. Sebastian, wnuczką ostatniej księżnej Karlenburgha. W sumie tytuł niewiele znaczył, w Starbucks kazano jej płacić za kawę, ale na niektórych robił wrażenie. Oby nie musiała się na niego powoływać, aby zaimponować rodzicom Jacka.

Już kilka minut po przyjeździe do Richmond uświadomiła sobie, że żaden tytuł nie zmieni surowych zasad Johna II. Mężczyzna był oburzony jej odmową poślubienia Jacka i daniu dziecku nazwiska Mason.

- Ależ, kochanie - powiedziała łagodnie jego żona ubrana w spodnie od Donny Karan i wyszywaną kryształkami tunikę od Versacego. - Gina z Jackiem sami powinni o tym zadecydować.

- Nie zgadzam się!

- Wiemy. - W głosie Ellen zabrzmiała ironiczna nuta. - Gino, można ci dolać mrożonej herbaty?

Siedzieli w czwórce w pięknej oranżerii. Za oszkloną ścianą rozciągał się trawnik z wielkimi dębami, którym posiadłość zawdzięczała swoją nazwę: Pięć Dębów.

- Wolałabym wodę z cytryną - odparła Gina. - Próbuję ograniczyć kofeinę.

Z oszronionego dzbanka Ellen naląła wody do szklanki, po czym srebrnymi szczypczykami wyciągnęła plaster cytryny.

- Za moich czasów nikt się kofeiną nie przejmował. Może stąd te pokłady energii u mojego syna.

Gina z trudem zachowała powagę. Syn Ellen faktycznie miał niespożyte siły: świadczyły o tym czerwone ślady, jakie jego zarost zostawił na jej udach.

- Może ciekawi cię drzewo genealogiczne twojego dziecka? - ciągnęła matka Jacka. - Na górze mamy galerię z portretami przodków. Chodź, pokażę ci...

Księżna Charlotte wozila wnuczki do wszystkich najważniejszych muzeów w kraju i na świecie. Luwr, Uffizi, Ermitaż, Narodowa Galeria Sztuki w Waszyngtonie. Dzięki tym wizytom Gina pokochała sztukę. Nie mogła się pochwalić zbyt głęboką wiedzą na jej temat, potrafiła jednak docenić dobre malarstwo.

Żaden z portretów wiszących w holu na piętrze nie był namalowany ręką mistrza, mimo to galeria przedstawiała fascynującą kolekcję strojów i fryzur od siedemnastego wieku aż po teraźniejszość. Gina przystanąła przed olejnym obrazem dziadka Jacka, który pozował w mundurze galowym pułkownika armii amerykańskiej.

- Moja babcia go znała. On i jego żona byli kiedyś na przyjęciu, które wydała z okazji przyjazdu jakiegoś sultana.

- Czytałam o twojej babce - rzekła gospodyni, podchodząc do kolejnego obrazu, który przedstawiał ją i męża w wieczorowych strojach. - Wyjątkowa z niej kobieta.

- To prawda. - Gina wskazała na puste miejsce na ścianie. - Brakuje portretu Jacka i Catherine.

- Niestety. Nigdy nie mieli czasu i nikt ich nie poganiał, bo... - Głos Ellen się załamał. - Nie sądziliśmy, że to się tak skończy. - Obróciwszy się, wyciągnęła rękę do Giny. - Dlatego chciałam porozmawiać z tobą na

osobności. Życie jest krótkie i pełne niespodzianek. Podziwiam cię, że słuchasz własnego serca. Nie pozwól, żeby Jack, mój mąż ani ktokolwiek inny narzucał ci swoją wolę.

Rozmowa z Ellen sprawiła, że łatwiej było Ginie znieść zachowanie Johna II. Nie ukrywał rozczarowania jej postępowaniem, ale nie ulegało wątpliwości, że darzy syna ogromnym uczuciem i jest dumny z jego osiągnięć.

- Czy mówił ci, że jest najmłodszym ambasadorem? - spytał.

Lunch składał się z zapiekanej mamałygi z serem, zielonej fasolki z migdałami i najlepszych placuszków krabowych, jakie Gina kiedykolwiek jadła.

- Nie, nie mówił.

- W takim razie pewnie też nie wspominał, że PAC's, czyli ludzie z niezależnych komitetów wyborczych, namawiają go, aby startował do senatu, a po kilku latach włączył się w wyścig o fotel prezydencki.

- Tato...

- Wczoraj nawet o tym rozmawialiśmy - rzekła Gina.

- Tak? - John II uniósł zdziwiony brwi.

- Też uważam, że powinien startować.

- Tato...

Mężczyzna ponownie zignorował syna. Wykrzywił wargi w ironicznym grymasie.

- Jestem pewien, że nasi konserwatywni wyborcy wylegną tłumie na ulice, aby poprzeć kandydata z dzieckiem z nieprawego łoża.

- Dość tego! - Jack poderwał się od stołu i cisnął serwetką na blat. - Umawialiśmy się, że nie będziesz poruszał tego tematu. Skoro nie potrafisz dotrzymać słowa, Gina i ja was teraz pożegnamy.

- Przepraszam - mruknął ojciec. - Usiądź, synu. Bardzo cię proszę.

Wiszącej w powietrzu awanturze zapobiegła, jak pewnie wielokrotnie wcześniej, Ellen Mason.

- Kochanie, może pokażesz Ginie ogród różany, a ja sprzątnę ze stołu i przyniosę deser?

- Ellen, pomogę ci! - zawołała Gina, odsuwając pośpiesznie krzesło.

Sernik polany czekoladą i posypyany orzechami ostudził rozpalone emocje. Wszyscy znów odnosili się do siebie uprzejmie, a Ellen pilnowała, by rozmowa nie zeszła na drażliwe tematy. Gina miała nadzieję, że dotrwią tak do końca wizyty. Niestety. Już mieli wracać do Waszyngtonu, gdy Ellen poprosiła Jacka, aby poszedł z nią do gabinetu. Chciała dać mu ulotkę o organizacji pomagającej maltretowanym dzieciom.

Gina została z Johnem II w holu na dole. Oboje milczeli. Nagle mężczyzna przerwał ciszę.

- Pogrzebałem w twoim życiorysie.

- Słucham?

- Nie osobiście. Wynająłem detektywa.

Gina zmrużyła oczy, zacisnęła zęby i wysunęła brodę. Każdy, kto ją znał, wiedziałby, jak odczytać jej minę.

- Ach, tak?

- Chciałem, żeby sprawdził plotki o innych mężczyznach, z którymi cię widywano.

Instynktownie przyłożyła rękę do brzucha.

- Z którymi podejrzewałeś, że się pieprzyłam?

John II zamrugał, zaskoczony dosadnością jej słownictwa.

- Tak - przyznał.

Na myśl o tym, że jakiś detektyw rozmawia z jej przyjaciółmi, wypytuje o nią, może sam insynuuje różne rzeczy, poczuła złość i upokorzenie.

- Niepotrzebnie traciłeś pieniądze. Badanie DNA wyszłoby taniej.

- Byłaś w Szwajcarii, Jack poleciał do ciebie zaraz po twoim telefonie. Mówiłem mu, żeby nalegał na badanie, ale... Nieważne. Po prostu chciałem ci powiedzieć, że wiem, że urodzisz dziecko mojego syna.

- Jakiś ty wspaniałomyślny.

Zdziwił go jej lodowaty ton. Zamierzał coś dodać, ale zrezygnował, słysząc zbliżające się kroki. Jack i Ellen z miejsca wyczuli napięcie. Wzdychając ciężko, Ellen pokręciła głową, Jack natomiast zażądał wyjaśnień.

- Co się stało?

- Nic - odparła Gina, zanim John II się odezwał. - Dziękuję za pyszny lunch, Ellen.

Pocałowała matkę Jacka w policzek, po czym spojrzawszy chłodno na Johna II, wyciągnęła rękę.

- Może się jeszcze kiedyś zobaczymy.

Mężczyzna zeszytniał, wyczuwając groźbę zawartą w słowie „może”.

- Mam nadzieję, że tak.

- Dobra - powiedział Jack, kiedy wjechali pomiędzy dęby ocieniające podjazd. - O co poszło?

Chciała wzruszyć ramionami, ale nie była w stanie pohamować wściekłości. Obróciła się w fotelu. Z jej głosu przebijał gniew, ból oraz nuta podejrzliwości.

- Wiedziałaś, że twój ojciec wynajął detektywa, żeby sprawdził moją przeszłość?

- Tak, ale...

- Miał twoje poparcie?

- Chryste, Gino! A jak myślisz?

Wciąż była zła, ale oburzenie Jacka podziałało na nią kojąco. Skrzyżowała ręce na piersi.

- Co za drań...

Po chwili zreflektowała się, że nie powinna tak mówić. Jack mógł ojca krytykować, ale na pewno nie chciał słuchać, jak inni go obrażają. Ona też nie tolerowałaby krytycznych uwag na temat księżnej.

- Przepraszam - szepnęła.

Skinął głową na znak, że przyjmuje przeprosiny.

- Ja też przepraszam. Powinienem być ci powiedzieć o detektywie, ale dowiedziałem się dopiero po powrocie ze Szwajcarii i wtedy to już było bez znaczenia.

- Dlaczego? - zdziwiła się. Miejsce gniewu zajęła ciekawość. - Nie miałaś wątpliwości?

- Najmniejszych. - Poruszył ramionami, by pozbyć się napięcia. - Może nie zgadzamy się w wielu ważnych kwestiach, ale nigdy się nie okłamywaliśmy.

Oczy ją zapiekły. Nie, nie rozplacze się!

- Wiesz co? Te ostatnie dni były dość męczące. Chyba trochę przesadziłam. Lepiej będzie, jak dziś wieczorem wrócę do Nowego Jorku.

- Chodzi o dziecko? - Spojrzał na nią zaniepokojony.

- Nie.

- O nas?

- Niewiele spaliśmy w ciągu tych dwóch nocy. Muszę odpocząć, sama, we własnym domu.

- Tego chcesz?

- Tak.

Droga do Waszyngtonu trwała znacznie krócej niż do Richmond. Nie zjeżdżali z autostrady, nie zatrzymywali się w przydrożnych barach. Gina sprawdziła godziny wylotów i zarezerwowała bilet na siódmą dwadzieścia. Czasu było niewiele, ale wiedziała, że jeśli spakuje rzeczy i od razu ruszy na lotnisko, to zdąży na samolot.

- Nie musisz czekać - powiedziała, kiedy Jack skręcił na parking hotelowy. - Złapię taksówkę.

- Odwiozę cię.

Wpadła do wynajmowanego przez TTG apartamentu, błyskawicznie się spakowała, po czym zamówiła ekipę sprzątającą. Klucz schowała do koperty, a kopertę wsunęła pod drzwi gabinetu Elaine Patterson, szefowej biura, która jutro miała wrócić z Oregonu. Wszystkie sprawy dotyczące piątkowego przyjęcia mogły załatwić za pośrednictwem mejli.

Kiedy Jack dotarł do lotniska, Gina znów zaczęła toczyć z sobą walkę. Czy słusznie postępuje? Wewnętrzny głos twierdził, że tak. Powinna nabrać dystansu, ocenić, jakie szkody poczyniły w jej sercu te dwie noce, które spędziła w ramionach Jacka. Głos głosem, a ciało pragnęło jeszcze jednej wspólnej nocy. Dwóch. Albo trzech.

Jeśli Jack przeżywał podobne rozterki, nie okazywał tego. Wysiadł z samochodu, nie gasząc silnika, po czym wyjął ze środka walizkę. Następnie wsunął rękę we włosy Giny i obrócił ją twarzą do siebie.

- Zadzwoń, jak dotrzesz na miejsce.

- Dobrze.

- I odpocznij.

- Tak jest, ambasadorze.

- Zobaczymy się na kolejnej wizycie u ginekologa. Może wcześniej.

Wcześniej byłoby lepiej, pomyślała, zamykając oczy i nadstawiając usta do pocałunku. Byłoby znacznie lepiej.

Kiedy siedem godzin później wysiadła z taksówki przed Dakotą, dosłownie padała na nos. Z powodu problemów technicznych lot z Waszyngtonu został opóźniony. Pasażerowie czekali na pokładzie prawie dwie godziny, zanim linie podstawily inny samolot. Gina zadzwoniła z tego drugiego do Jacka, a potem kolejny raz, kiedy wylądowała na La Guardii.

Ponieważ na miejsce doleciała po północy, nie dzwoniła do babki. Księżna na pewno już dawno się położyła. Jerome miał wolne. Nowego portiera nie знаła, więc jedynie skinęła mu na powitanie. W windzie, półżywa, oparła się o lustrzaną ścianę.

Po wejściu do mieszkania uderzył ją w nozdrza znajomy zapach kwiatów pomarańczy. Uśmiechając się, zostawiła klucze obok kryształowej misy z pachnącym potpourri, następnie ciągnąc walizkę, której gumowe kółka na szczęście nie czyniły hałasu, przeszła przez salon. Zbliżała się do holu, za którym znajdowały się sypialnie, kiedy z kuchni dobiegł ją jakiś przytłumiony dźwięk.

Zostawiła walizkę i zawróciła. Nad wahadłowymi drzwiami między kuchnią a jadalnią dostrzegła światło. Po chwili znów coś zabrzęczało.

- Babciu?

Wyciągnęła rękę, by pchnąć drzwi, kiedy te się otworzyły. Naprzeciw siebie ujrzała szeroki tors w ciemnym T-shircie. Zaskoczona podniosła wzrok. Zobaczyła ocienione zarostem policzki, zacięte usta, ciemne iskrzące oczy i nastroszone brwi.

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

W jednej chwili przypomniało jej się wszystko, co czytała lub słyszała na temat samoobrony: ściągnęła z ramienia torebkę i z całej siły się nią zamachnęła.

- Hé! - Intruz podniósł ręce, zasłaniając się przed ciosem. - Várj!

- Sam jesteś várj!

Gina ponownie się zamachnęła, ale tym razem mężczyzna chwycił pasek i odebrał jej torebkę.

- Draniu, jeśli skrzywdziłeś moją babcię...

Wyminąwszy faceta, wbiegła do kuchni i zacisnęła palce na największym z noży w drewnianym bloku.

- Jézus, Mária, és József! - Intruz złapał ją za nadgarstek. - Przestań, Eugenio!

Serce waliło jej jak młotem.

- Skąd znasz moje imię? Co tu robisz? Gdzie jest babka?

- U siebie w sypialni. Pewnie śpi. Pozwoliła mnie i mojej siostrze się tu zatrzymać. A twoje imię znam stąd, że jesteśmy spokrewnieni.

- Kto? My?

- Tak.

Szarpnęła rękę. Mężczyzna zwolnił uścisk. Po chwili uśmiech zmiękczył ostre rysy jego twarzy.

- Jestem Dominic St. Sebastian. Mieszkam w Budapeszcie, ale moi rodzice pochodzą z Prádzec, miasta, w którym urodziła się twoja babka - dodał, widząc, że Gina nie kojarzy nazwy.

- Nie... rozumiem. Kiedy przyjechałeś?

- Dziś po południu. - Wskazał na stojący za sobą ekspres do kawy. - W Nowym Jorku jest środek nocy, ale na Węgrzech zaczyna świtać. Mój organizm się jeszcze nie przestawił i domaga się porannej dawki kofeiny. Może napijesz się ze mną, a ja ci opowiem, skąd Anastazia i ja wzięliśmy się w twoim domu?

- Nie pijam kawy - szepnęła Gina, odruchowo przykładając rękę do brzucha.

Przeszkadzał jej widok tego groźnie wyglądającego mężczyzny w kuchni Charlotte. Miał w sobie coś z pantery, może z powodu czarnych jak węgiel włosów, czarnego T-shirtu, który ciasno opinał umięśniony tors, i czarnych dżinsów zawieszonych nisko na biodrach.

- Zatem herbata?

- Tak, z przyjemnością. - Skinęła w stronę szafki za głową mężczyzny. - Tam jest czajniczek.

- Wiem. - Uśmiech dotarł z jego ust do oczu. - Księżna powiedziała, żebym czuł się jak w domu. Wziąłem sobie to do serca i pogrzebałem w kuchennych szafkach.

Z zaciętą miną Dominic przykuwał uwagę, natomiast z twarzą rozjaśnioną uśmiechem pewnie żadnej kobiety w Budapeszcie nie pozostawiał obojętnej.

Kiedy świeżo zaparzona kawa kapiała do dzbanka, mężczyzna wyjął czajnik i wsypał do niego herbatę o smaku rumiankowym. Po chwili on i Gina siedzieli naprzeciwko siebie, każde z kubkiem w ręce.

- Czyli księżna nigdy nie opowiadała ci o mnie ani mojej rodzinie? - zapytał.

W jego głosie pobrzmiwał lekki, prawie niezauważalny akcent. Ciekawe, gdzie się nauczył tak biegle mówić po angielsku?

- Wspomniała nam, mnie i mojej siostrze, że mamy jakichś kuzynów w czwartej lub piątej linii.

- Co najmniej piątej, może nawet i szóstej. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy się pobrać.

Ginę naszły podejrzenia. Czyżby księżna coś knuła?

- Kiedy Charlotte zaprosiła ciebie i twoją siostrę do Nowego Jorku?

- To nie tak. Przyjechałem tu w interesach. Ponieważ Anastazia nigdy nie była w Ameryce, postanowiła mi towarzyszyć. Kiedy zadzwoniliśmy do księżnej, żeby umówić się na spotkanie, zaprosiła nas na kawę. Oczarowana Anastazia stwierdziła, że musimy u niej zostać.

Babka oczarowana Anastazia? Jakoś Gina nie chciała w to uwierzyć.

- Długo będziecie w Nowym Jorku?

- To zależy, kiedy uda mi się sfinalizować sprawy zawodowe. Ale mam nadzieję, że zdążymy się wszyscy nieco lepiej poznać. Słyszałem opowieści o tym, jak księżna po egzekucji księcia musiała uciekać ze swoją małą córką.

- Babcia nigdy nie mówi o tamtych czasach. Myślę, że wspomnienia nadal są dla niej bolesne.

- Dlatego nigdy nie wróciła do Austrii ani na tereny, które obecnie należą do Węgier?

- Chyba tak.

- To zrozumiałe, ale może kiedyś się zdecyduje? Wszystko się bardzo zmieniło.

- Nie wątpię.

- Ty też powinnaś przyjechać. Chętnie pokazałbym ci mój kraj, Eugenio.

- Gino. Babcia jest jedyną osobą, która używa formy Eugenia, i to zwykle wtedy, kiedy coś nabroję.

- Często ci się to zdarza?

- Częściej, niżbym chciała. - Skrzywiła się.

Herbata i spokojna rozmowa sprawiły, że z Giny powoli opadały emocje wywołane widokiem obcego człowieka w domu. Gdy całkiem opadły, ogarnęło ją zmęczenie. Nie zdołała powstrzymać ziewnięcia.

- Przepraszam - powiedziała. - To był długi dzień.

- Idziemy do łóżka? - spytał Dominic, nie spuszczać z niej swoich czarnych oczu.

Uspokój się, Gina skarciła się w duchu. Nie doszukuj się podtekstów we wszystkim, co facet mówi.

Dominic umył kubki, Gina opróżniła ekspres do kawy. Kiedy wychodzili z kuchni, Dominic zgasił światło, na moment pograżając ich w ciemności.

Gina, która dorastała w tym mieszkaniu, знаła jego rozkład, wiedziała dokładnie, gdzie stoi jaki mebel i który należy ominąć, by nie nabić sobie guza. Instynktownie postąpiła krok w lewo... i wpadła na Dominica.

- Ostrożnie. - Wyciągnął rękę, by ją przytrzymać.

- Dzięki. Sądzę, że babcia umieściła Anastazję w pokoju mojej siostry, a ciebie w gabinecie?

- Tak.

Przystanąli przed rozsuwanymi drzwiami.

- Dobranoc. Zobaczymy się rano... Chociaż nie - poprawiła się. - Pewnie koło południa.

Dominic wolno przesunął rękę z jej ramienia do nadgarstka, ujął dłoń Giny, po czym pochylił się i ze staroświeckim wdziękiem złożył na niej pocałunek.

- *Aludj jól*, Gino.

- Co to znaczy?

- Śpij dobrze.

- *Aludj jól*, Dominic.

Zostawiła go przy drzwiach gabinetu i wróciła po walizkę. Ze szpary pod drzwiami babci nie wydobywało się światło, więc na palcach przeszła do swojej sypialni. Zasnęła, zanim przyłożyła głowę do poduszki.

Obudziła się po kilku godzinach. Miała wrażenie, jakby ciężka piłka naciskała na jej pęcherz. Wstała i skierowała się do łazienki. Dwie minuty później ponownie wsunęła się pod kołdrę, ale długo przewracała się z boku na bok. Gdy w końcu zasnęła, przyśniła się jej dziwna postać, która raz miała czarne włosy, a raz złociste.

Ponieważ Samuel nie spodziewał się jej przed wtorkiem, uznała, że nie musi pędzić do pracy skoro świt. Całe szczęście, bo kiedy się drugi raz obudziła, było już po dziewiątej. Nie spiesząc się, wzięła prysznic. Przez moment zastanawiała się, czy wczorajsze spotkanie z Dominikiem w kuchni przypadkiem się jej nie przyśniło. To nie było w stylu babci zapraszać do domu obcych ludzi. Kierując się tam, skąd dochodził zapach kawy i grzanek, dotarła do kuchni.

- Już wstałaś, kochanie? - zapytała Maria. - Dominic powiedział, że wróciłaś późno.

- O mało nie dostałam zawału, kiedy się na niego natknęłam. - Chociaż marzyła o kawie, naląła sobie szklankę soku jabłkowego. - Zdziwiłam się, że babcia zaprosiła jego i jego siostrę.

- Ja też. Ale okazali się bardzo mili. *La duquesa* jest zadowolona, uśmiecha się. Zresztą sama zobaczysz. - Maria położyła ostatnią grzankę na stosie.

- Daj, zaniosę.

W słonecznej jadalni panowała przyjazna atmosfera. Księżna z warkoczem upiętym w kok siedziała u szczytu stołu. Miała na sobie ulubioną lawendową bluzkę z wysokim koronkowym kołnierzykiem. Uśmiechając się, z ożywieniem rozmawiała z gośćmi w ich języku.

Ale na widok gości Gina stanęła w pół kroku. W jasnym świetle dnia Dominic wyglądał równie groźnie jak wczoraj. Pewnie z powodu zarostu, uznała. Albo z powodu zamiłowania do czarnych koszul. Dziś też miał na sobie czarną, tyle że zapinaną na guziki. Guzik pod szyją był rozpięty. Błysnął srebrny łańcuszek.

Siedząca po drugiej stronie stołu dziewczyna była równie atrakcyjna jak jej brat. Lśniące kruczoczarne włosy opadające na plecy, wysokie kości policzkowe, usta pociągnięte czerwoną szminką, długie rzęsy, czarne, lekko skośne oczy. Jeżeli figurę miała tak samo piękną jak twarz, to gdyby weszła do dowolnej agencji modelek w Nowym Jorku, w ciągu kilku minut wyszłaby z kontraktem na sześciocyfrową sumę.

Nagle Gina poczuła się gruba i nieatrakcyjna, w dodatku zrobiło się jej przykro, że babka tak się cieszy z wizyty dwojga nieznajomych. Ale to trwało dosłownie chwilę, bo kiedy księżna podniosła wzrok, jej twarz się rozpromieniła.

- Wstałaś, skarbie? Chodź, usiądź z nami.

Dominic przejął od niej talerz z grzankami, tak by mogła bez przeszkód się schylić i pocałować babkę, a jego spojrzenie natychmiast poprawiło jej humor. Z takim zachwytem nie patrzyłby na nieatrakcyjną grubaskę.

- Dzień dobry, kuzynko. Dobrze spałaś?

- Doskonale.

- Pozwól, że ci przedstawię moją siostrę. Anastazio, to jest...

- Eugenia Amalia Therése - rzekła brunetka ze znacznie silniejszym akcentem niż jej brat. Obeszła stół i wyciągnawszy do Giny rękę, pocałowała ją w policzek. - Cieszę się, że wreszcie mam okazję cię poznać, kuzynko. Ja też mam na środkowe imię Amalia po Marii Amalii, arcyksiężnej Parmy. - Zmarszczyła brwi. - Anastazia Amalia Julianna. Strasznie dużo tych imion, prawda?

Mimo wyglądu modelki dziewczyna nie zadzierała nosa, przeciwnie, sprawiała pozytywne wrażenie.

- Prawda - przyznała z uśmiechem Gina.

- Ale mów do mnie Zia, a ja do ciebie będę mówić Gina.

Po chwili obie usiadły przy stole.

- Biedna arcyksiężna Maria Amalia - rzekła z drwiącym uśmiechem księżna. - Zmuszona do małżeństwa ze zwykłym księciem, podczas gdy jej dwie siostry zostały królowymi. Maria Antonina królową Francji, a Maria Karolina królową Sycylii i Neapolu.

Charlotte wypila łyk herbaty, po czym podzieliła się kolejną ciekawostką.

- Podobno siostry łączyła bliska więź. Często do siebie pisały, jedna drugiej wysyłała podarki. Jeden z ostatnich listów Antoniny z więzienia adresowany był do Amalii.

- W tutejszym Metropolitan Museum wisi portret ich matki, Marii Teresy, cesarzowej Austrii. Muszę się koniecznie tam wybrać - powiedziała z przejęciem Zia.

- Eugenia cię oprowadzi. Zna wszystkie sale.

- Nie chciałabym się narzucać. - Zia uśmiechnęła się do Giny. - Podobno jesteś bardzo zapracowana.

- Akurat dziś mam wolne. Jeśli masz ochotę, możemy wybrać się po południu.

- Och, z przyjemnością! Domi, pójdziesz z nami?

Mężczyzna napotkał spojrzenie Giny i powoli się uśmiechnął.

- Sprawdzę, czy zdołam przesunąć popołudniowe spotkanie.

Dopiero godzinę później Gina miała sposobność porozmawiać z Charlotte sam na sam. Zia wyszła na taras, by odsłuchać wiadomości w poczcie głosowej i przeczytać mejle, a Dominic udał się do gabinetu, by zadzwonić.

- Babciu, o co chodzi z tą nagłą gościnnością w stosunku do dalekich krewnych, których nigdy nie widziałas? - spytała, kiedy zostały we dwie w jadalni.

- Ależ Eugenio! Chyba nie sądzisz, że pozwoliłabym tej dwójce młodych i czarujących ludzi nocować w hotelu, kiedy mamy tyle wolnych pokoi?

- Przecież nic o nich nie wiesz.

- To samo powiedział Dominic, kiedy zaproponowałam im gościnę. Odmówił. To ja nalegałam.

- Czy mówili ci, czym się zajmują?

- Dominic pracuje w jakiejś firmie ochroniarskiej, a Anastazia właśnie skończyła studia medyczne na Uniwersytecie Semmelweisa w Budapeszcie.

Śliczna, inteligentna i w dodatku z dyplomem lekarki. Gina z trudem zdużyła w sobie zazdrość. Pewnie znów poczułaby się gruba i nieatrakcyjna, gdyby do pokoju nie wrócił Dominic.

- Jeśli na pewno tego chcesz, jestem dziś do twojej dyspozy...

Urwawszy, obrócił się na pięcie. Gina zaskoczona wyjęła słuch. Tak, w oddali dzwonił telefon.

- To moja komórka, zostawiłam ją w torbie na stoliku w holu - powiedziała. - Przepraszam...

Zanim dokopała się do aparatu, dzwoniący zaczął nagrywać wiadomość. Zobaczyła na wyświetlaczu imię Jacka i szybko wcisnęła przycisk.

- Jack! Halo...

- Cześć, Gino. Chciałem sprawdzić, jak się czujesz po wczorajszej odysei.

Na dźwięk jego głosu zalała ją fala emocji. Mimo że wczoraj postanowiła tak nagle wyjechać z Waszyngtonu, zdążyła się już za Jackiem stęsknić.

- Dobrze - odparła. - Uznałam, że skoro wciąż mam urlop, nie pójdę dziś do pracy.

- Będziesz leżała do góry brzuchem?

- Nie do końca. Zabieram do Met kuzynów.

- Kuzynów? - zdziwił się Jack.

- Rodzeństwo, Dominica i Anastazię. Ich rodzice wywodzą się z Prądzec, które dawniej należało do księstwa Karlenburgh.

- A obecnie leży na Węgrzech.

Z telefonem przy uchu Gina przeszła na koniec holu. Dominic, który usiadł obok księżnej, zabawił ją rozmową.

- Czy księżna wiedziała o ich przyjeździe?

- Nie, zaskoczyli ją. Mnie też. Wczoraj w nocy prawie się zderzyłam z Domem. Byłam pewna, że to włamywacz.

- A co robił w nocy w domu księżnej?

- Mieszka tu, z siostrą.

W słuchawce nastała cisza.

- Powtórz: jak się nazywają?

- Dominic i Anastazia St. Sebastian. Gna skończyła studia medyczne, a on pracuje w jakiejś firmie ochroniarskiej. Więcej szczegółów babcia nie zna.

Kątem oka zobaczyła, że Zia wróciła do jadalni.

- Jack, muszę kończyć...

- Gino?

- Tak?

- Jeśli chodzi o nasz weekend, czy zrobiłem coś...

- Och, nie, Jack - przerwała mu. Nie miała czasu analizować pobytu w Waszyngtonie, tych wspólnie spędzonych dni i nocy. - To moje szalejące hormony. Nie przejmuj się. Zdzwoniemy się niedługo, okej?

- Okej.

Rozłączywszy się, wzięła głęboki uspokajający oddech, ale emocje, jakie Jack w niej wywołał, musiały być widoczne na jej twarzy. Przyglądając się badawczo wnuczce, księżna spytała:

- Kto to był, kochanie?

- Jack.

- Hm.

Krótkie „hm” wzbudziło ciekawość gości, oboje byli jednak zbyt kulturalni, aby pytać o cokolwiek.

- Jack Mason - wyjaśniła Gina. - Jest ambasadorem przy Departamencie Stanu.

Wyraz twarzy Dominica nie uległ zmianie, choć przez moment Gina miała wrażenie, że w jego ciemnych oczach pojawił się dziwny błysk. Widocznie podejrzewał, że ona coś ukrywa. W porządku, nie ma sensu robić z tego tajemnicy.

- Jest również ojcem mojego dziecka.

Kiedy się rozłączyła, Jack przez dłuższą chwilę spoglądał na widoczny w oddali fragment National Mall. Nie mógł przestać myśleć o tym, co usłyszał.

Dwie osoby, brat i siostra z Węgier. Hm.

Sięgnął po telefon. Chciał wierzyć, że to nic takiego. Owszem, miał niedawno starcie z członkami rosyjskiej mafii, którzy przybyli zza dawnej żelaznej kurtyny, ale...

W słuchawce odezwał się głos Vickersa.

- Tak, szefie?

- Sprawdź mi parę z Węgier. Twierdzą, że są rodzeństwem i nazywają się Dominic oraz Anastazia St. Sebastian.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Następnych kilka dni zleciało błyskawicznie. Większość czasu Gina spędzała w pracy, a w wolnych chwilach pokazywała Zii i Dominicowi ciekawe miejsca w Nowym Jorku. Poza tym z zainteresowaniem słuchała, jak w odpowiedzi na pytania gości księżna snuje wspomnienia.

Długo trzymała wszystko w sobie, nikomu nie opowiadała o przeszłości. Teraz też starannie selekcjonowała anegdoty. Głównie mówiła o dziewczynce, która przyszła na świat w bogatej arystokratycznej rodzinie i podróżowała po całej Europie. Ku swemu zdumieniu Gina dowiedziała się, że piętnastoletnia Charlotte miała szansę wystąpić w jeździectwie na olimpiadzie. Niestety jej rodzice się sprzeciwili. Żeby ich ukarać, zażądała, aby pozwolili jej studiować historię Grecji i Rzymu na Uniwersytecie Karola w Pradze.

- To takie romantyczne miasto - powiedziała, kiedy siedzieli przy typowo węgierskiej kolacji, którą Dominic z Zią przygotowali w podzięce za gościnę.

W srebrnych świecznikach paliły się świece. Talerze zostały sprzątnięte, ale nikomu się nigdzie nie spieszyło. Pod ręką stała kryształowa karafka z palinką. Ta tradycyjna węgierska brandy o smaku moreli była prezentem od rodzeństwa. Księżna i jej goście popijali ją małymi łydkami z cylindrycznych kieliszków, Gina zaś zadowoliła się kieliszkiem soku żurawinowego.

Na twarzy księżnej pojawił się wyraz rozmarzenia.

- Właśnie w Pradze poznałam księcia. Od jakiegoś czasu nasze rodziny chciały nas wyswatać, ale jakoś im się nie udawało...

- A co księżę robił w Pradze? - spytała Gina.

- Uznał, że najwyższy czas się ożenić i przyjechał sprawdzić, czy naprawdę jestem tak nowoczesna, jak głosi plotka. - Księżna podniosła kieliszek. Przez moment spojrzenie miała nieobecne, jakby przeniosła się kilkadziesiąt lat wstecz. - Kiedy wszedł do restauracji, w której byłam na kolacji, nie wiedziałam, kim on jest. Zobaczyłam wysokiego, niesamowicie przystojnego mężczyznę z czarnymi jak smoła włosami i śniadą cerą. Wszystkie pary oczu były skierowane na niego. Podszedł do naszego stolika, uklonił się i przedstawił, a ja z miejsca straciłam dla niego głowę.

Księżna pogrzyżyła się w zadumie. Gina zerknęła na Dominica, który również miał czarne włosy, czarne oczy i oliwkową cerę. Nagle rozległ się ostry dzwonek. Wszyscy podskoczyli. Na twarzy księżnej odmalował się wyraz irytacji.

- Sprawdź, kto to - powiedziała Gina. Migające światelko na interkomie oznaczało, że dzwoni ktoś z recepcji. - Słucham?

- Lady Eugenio, mówi Jerome. Jest tu niejaki John Mason.

Jack? Radość przepelniła jej serce.

- Proszę go wpuścić! Idę otworzyć drzwi! - zawołała.

Czekając na windę, żałowała, że trochę bardziej się nie wystroiła. Trudno; przynajmniej wciąż się mieści w dzinsy, a zielony T-shirt podkreślał jej nabrzmiały biust.

Kiedy Jack wysiadł z kabiny, skupiła się na jego wyglądzie. Węgierski przystojniak nie miał przy nim szans. Wszystkie przykrości, jakich doznała podczas weekendu, poszły w niepamięć. Zapomniała o wściekłości i upokorzeniu, jakie poczuła na wieść o tym, że John II wynajął detektywa. Zapomniała o drobnych złośliwościach czynionych przez tego palanta Vickersa. A także o bólu, jaki ją przeniknął, kiedy w domu Jacka zobaczyła rozstawione wszędzie zdjęcia Catherine.

- Co tu robisz?

- Przyjechałem z dwóch powodów. Po pierwsze, nie podobało mi się to, jak zakończył się nasz weekend. Nie mogę sobie darować, że na pożegnanie dałem ci tylko całusa w policzek.

- To można naprawić.

- Masz rację.

Zgarnął ją w ramiona. Mogłaby tak stać do końca świata. Jego dotyk i zapach otulały ją niczym ciepłym kocem. Czowała pod swoją dłoń, jak bije mu serce...

- Powiedziałeś: z dwóch powodów. Jaki jest ten drugi? - spytała, kiedy oderwał usta od jej ust.

Zawahał się na moment, ale nie uszło to jej uwagi.

- Stęskniłem się.

- Tak trudno to było powiedzieć?

- Sama spróbuj.

- Stęskniłam się.

Z głębi mieszkania dobiegły głosy.

- Przychodzę nie w porę?

- Nie, skończyliśmy jeść, po prostu siedzimy i rozmawiamy. Chodź, poznasz moich kuzynów.

Wprowadziwszy Jacka do jadalni, zauważyła reakcje gości. Zia wyprostowała się, zdjęła łokcie ze stołu, zmierzyła Jacka od stóp do głów, oczy jej załśniły, zmysłowy uśmiech wykwitł na ustach.

Gina zjeżyła się, po czym przeniosła spojrzenie na Dominica. W przeciwieństwie do siostry, która nie kryła emocji, siedział z kamienną miną, natomiast księżna uśmiechnęła się przyjaźnie.

- Dobry wieczór, ambasadorze. Miło cię znów widzieć.

Zia uniosła brwi. Skierowała wzrok na Ginę i z powrotem na Jacka, Dominic zaś wolno odsunął krzesło od stołu i wstał.

- Ciebie również, Charlotte. - Jack podszedł do starszej pani. - Przepraszam za niespodziewane najście.

- Ależ nie, będziesz miał okazję poznać naszych gości, którzy przyjechali z Węgier.

- Gina mi o nich wspominała.

- Anastazio, przedstawiam ci ambasadora Jacka Masona.

Jak przystało na dżentelmena, Jack schylił się i pocałował jej dłoń.

- Proszę mi mówić Zia. - Dziewczyna zamruczała jak kotka. - A czy ja mogę się do ciebie zwracać Jack?

- *Igen.*

- Och, jak cudownie! Znasz węgierski!

- Mógłbym zamówić drinka w barze, ale to wszystko.

- W moim kraju to w zupełności wystarczy. - Roześmiała się wesoło. - To jest mój brat Dominic.

Jack obszedł stół i wyciągnął rękę. Zachował się normalnie, ale coś w jego postawie zwróciło uwagę Giny. Miała wrażenie, jakby w subtelny sposób przekazywał drugiemu mężczyźnie jakieś ostrzeżenie.

Dominic również to zauważył. Uśmiechając się ironicznie, uściśnął rękę przybysza.

- Myśmy już się spotkali, ambasadorze, chociaż nie sądzę, aby pan mnie pamiętał.

- Pamiętam. Pamiętam również, że inaczej się pan wtedy nazywał.

Obaj zignorowali zdziwione spojrzenia kobiet. Wyglądało to tak, jakby toczyli z sobą pojedynek.

- To prawda - przyznał Dominic. - A pan jeszcze się wtedy nie dorobił tytułu ambasadora.

Księżna, która poczuła się jak w sytuacji rodem z westernu, huknęła pięścią w stół.

- Siadajcie obydwaj. Jack, napij się doskonałej brandy? Czy wolisz kawę?

- Poproszę brandy.

- Gino, przynieś jeszcze jeden kieliszek. Może Jack lub Dominic zechcą nam łaskawie wyjaśnić, kiedy i gdzie się spotkali.

Z kredensu ludwikowskiego, który zajmował niemal całą ścianę, Gina wyjęła kryształowy kieliszek, postawiła go na stole, po czym napełniła aromatycznym trunkiem. Napięcie między mężczyznami wyraźnie opadało.

- To bardziej twoja opowieść niż moja - rzekł Dominic, ustępując Jackowi pola.

- No więc spotkaliśmy się lata temu na Malcie. Z ramienia ONZ-u badałem sprawę handlu młodymi kobietami, które porywano w Europie Wschodniej i sprzedawano bogatym kupcom w świecie arabskim.

- Mój Boże! - Księżna popatrzyła pytająco na swojego rodaka, który ponownie skinął na Jacka.

- W czasie pobytu naszej grupy na Malcie usłyszałem plotki o kolejnym transporcie z Albanii. Z pomocą Interpolu i władz maltańskich przechwyciliśmy trawler. Na pokładzie znajdowało się sześć kompletnie odurzonych dziewczyn w wieku od piętnastu do dwudziestu lat.

Jack sięgnął po kieliszek i przeniósł spojrzenie z księżnej na mężczyznę, który siedział po drugiej stronie stołu.

- Kapitan trawlera zginął podczas wymiany ognia. Przynajmniej tak brzmiała oficjalna wersja.

- A naprawdę? - spytała Gina. - Zginął czy nie? Ogarnął ją niepokój. Czyżby obie, ona i babka, okazały się zbyt ufne i naiwne? Czy zbyt pochopnie uwierzyły we wszystko, co Dom i Zia mówili? Nagle przypomniała sobie pierwszy wieczór, kiedy wróciła do domu i zaskoczyła Dominica w kuchni. „

- Zginął - potwierdził Jack - ale nie podczas wymiany ognia. Zauważywszy na radarze nasze łodzie, wywłókł dziewczyny na pokład. Chciał wrzucić je do morza i pozbyć się dowodów. Wtedy padł od kuli w głowę.

Dominic wzruszył ramionami.

- Skurwiel stał przy burcie, podnosił jedną z dziewczyn. Nie było czasu, żeby negocjować.

- Nie rozumiem. - Gina zmarszczyła czoło. - Byłeś na łodziach ONZ-u?

- Nie, na trawlerze.

- Co?

- Prowadziłem tajną operację, Gino. Od miesięcy polowałem na szefa bandy specjalizującej się w handlu ludźmi, ale nie mogłem pozwolić na to, żeby kapitan trawlera zaczął mordować niewinne dziewczyny.

- Chciałeś też chronić swoją tożsamość.

- To również - potwierdził Dominic.

- Jedno mnie w tym wszystkim zastanowiło - ciągnął Jack, nie spuszczać oczu z Dominica. - Otóż Interpol ogłosił, że zastępca kapitana uciekł dzień po aresztowaniu, jednak w dokumentach nie ma śladu jego aresztowania. A oficer, który go zatrzymał, znikł dwa dni później.

Dominic uśmiechnął się chłodno.

- Albańczycy nie lubią się cackać.

Gina pokręciła głową. Nie mogła uwierzyć, że siedzą w eleganckiej jadalni, z kryształowych kieliszków piją brandy oraz sok żurawinowy i rozmawiają o porwanych na handel piętnastolatkach oraz śmierci od kuli. Zerknęła na babkę, która również patrzyła wkoło z niedowierzaniem. Nawet Zia sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Ciekawe, dokąd udałeś się z Malty, St. Sebastian?

- Miałem kilka ważnych misji. Tak jak i ty, Mason.

- Już nie pracujesz dla Interpolu. - To było stwierdzenie, a nie pytanie.

- Już nie. Obecnie jestem... niezależnym przedsiębiorcą. - Uśmiechnął się szeroko i nagle, jak za dotknięciem magicznej różdżki, złowrogi urok prysł. Dominic znów był kuzynem z Węgier, przystojnym, sympatycznym i niezwykle intrygującym.

- Nie miałam pojęcia, że był tajnym agentem - powiedziała Gina, odprowadzając Jacka do drzwi.

- A skąd miałaś wiedzieć?

- No tak... Co za niesamowita historia.

- Jesteś zmęczona?

Nie, nie czuła zmęczenia. Pewnie dlatego, że pora była wczesna. Lub dlatego, że zaciekała ją rozmowa przy stole. A może dlatego, że jej ciało reagowało podnieceniem na bliskość Jacka.

- Nie. A co?

- Zatrzymałem się w Excelsiorze, kilka przecznic stąd. Może wpadłabyś do mnie? Musimy pogadać o minionym weekendzie.

Rozum mówił jej, że to niedobry pomysł. Jeszcze sama nie przepracowała emocji, jakie towarzyszyły jej od wyjazdu z Waszyngtonu, ale nigdy nie kierowała się rozsądkiem. Spoglądając w oczy Jacka, wiedziała jedno: pragnie spędzić z nim godzinę lub dwie, sam na sam.

Nie należała do kobiet, które cokolwiek udają. Nie ukrywała uczuć, nie kokietowała. Uśmiechając się promiennie, skinęła głową w stronę jadalni.

- Poczekaj, tylko powiem babci, że wychodzę.

Postanowili się przejść. Wieczór był ciepły, nie było sensu łapać taksówki. Kiedy zjechali na parter, zamiast skierować się do wyjścia na Zachodnią Siedemdziesiątą Drugą, Gina skrzyła w stronę dziedzińca.

- Tędy jest krócej.

Wyszli na Siedemdziesiątą Trzecią. Trzymając się za ręce, minęli imponujące Muzeum Historii Naturalnej przy Central Park West. W hotelowej windzie zaczęli się całować. Gina płonęła i nie zamierzała

zwalać winy na hormony. Jack podniecał ją, rozpałał. Przeszując z nogi na nogę, czekała, aż otworzy drzwi do pokoju, a potem rzuciła się na niego.

- Mam nadzieję, że to miałeś na myśli, kiedy spytałeś, czybym nie wpadła do ciebie? - szepnęła, rozpinając mu koszulę.

- Mniej więcej.

Głos miał ochrypliwy, ruchy niecierpliwe. Chwycił za T-shirt Giny, podciągnął go, zacisnął dłonie na piersiach. Wystarczyło, że musnął kciukiem sutek, a Gina jęknęła z rozkoszy. Przyłgnęła do niego, ustami przywarła do jego ust. Byli prawie nadzy, kiedy rozejrzawszy się po luksusowo urządzonej sypialni, zapytała:

- A gdzie łóżko?

Znajdowało się w drugim, równie elegancko urządzonej sypialni. Było ogromne, z baldachimem z cieniutkiego jak mgiełka tiulu, przykryte złocistą kapą.

Jack ściągnął ją, po czym pchnął Ginę na chłodną atlasową pościel. Szybko pozbył się reszty ubrania.

Gina przyglądała mu się głodnym wzrokiem. Nie wytrzymała; przesunęła się na brzeg materaca i zacisnęła dłoń na jego członku. Na czubku pojawiła się mleczna kropla. To niesamowite, przemknęło jej przez myśl, że jedną pieszczotą doprowadziła Jacka do takiego podniecenia. Pochyliwszy głowę, wzięła go do ust.

Nie zdołał długo ustać. Już po chwili, kierowany atawistyczną potrzebą, ułożył Ginę na poduszkach. Ona rozwarła nogi, uniosła biodra. Kiedy popatrzyła mu w oczy, zapomniał o całym świecie. Liczyła się tylko Gina. Gina, która go fascynowała i podniecała.

Obudził się z głębokiego snu. W sypialni panowała cisza, za oknem powoli zaczynało świtać.

Gina leżała, oddychając równomiernie. Ostrożnie, by jej nie zbudzić, zsunął jej nogę ze swojego biodra i wstał. Wciągnął bokserki oraz spodnie i z gołym torsem podszedł do okna. Wyrzwał przez szparę w zasłonach. Miasto jeszcze spało.

Utkwiwszy wzrok w gmachu muzeum po drugiej stronie ulicy, usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz było mu tak dobrze. Chyba nawet przy Catherine nie czuł się tak spełniony, tak zrelaksowany.

Tylko tu, w cichym półmroku, przy śpiącej Ginie, miał odwagę się do tego przyznać. Catherine była silna, wysportowana, pochłonięta ważnymi sprawami, w które głęboko wierzyła. Bycie z nią wymagało wielkiej energii i zaangażowania. Czy wytrzymałby? Nie wypaliłby się? Czy razem by przetrwali?

A może szukałby tego, na co trafił u Giny? Usiłował znaleźć właściwe słowo. Nie chodziło o spokój ani ukontentowanie czy stabilizację. Co jak co, życie Eugenie Amalii Therése St. Sebastian na pewno nie było nudne ani przewidywalne.

Oczywiście fakt, że nosiła jego dziecko, miał znaczenie. Ale głównie liczyła się ona: Gina.

Chryste! Dlaczego nie potrafił powiedzieć wprost, że ją kocha? Okej, czasem go denerwowała. Była jedną z najbardziej upartych kobiet, z jakimi się zetknął. Ale marzył o tym, by budzić się przy niej codziennie aż do... Wrócił do łóżka i przysiadł na brzegu materaca.

- Gina, obudź się. - Usiłowała przykryć głowę poduszką. - Gina...

- Co? - Odwróciła się potargana.

- Usiądź na moment.

Mrucząc z niezadowolenia, oparła się o wezglowie.

- Oby to było coś ważnego. - Zakrywszy się kołdrą, odgarnęła włosy z twarzy.

- Dobra, słuchaj. Kocham cię. Chcę się budzić przy tobie codziennie aż do końca życia. Tyle że nikt z nas nie wie, ile ono będzie trwało. - Wbił palce w jej ramię i po chwili dodał: - Przekonałem się, że w życiu nie ma żadnych gwarancji. Nie można odkładać szczęścia na później. Wiem, że próbujesz przystosować się do zmian, jakie zachodzą w twoim...

- Stop!

Jack zdusił przekleństwo. Za dużą wywiera na nią presję. Zamierzał zmienić taktykę, kiedy wstała, wciąż owinięta kołdrą, i wycelowała w niego palec.

- Nie ruszaj się stąd. Zrobię siku, umyję twarz i zęby. Potem wrócę i masz mi powtórzyć część tego, co przed chwilą powiedziałeś.

- Którą część?

Obejrzała się przez ramię uśmiechnięta.

- Tę z kocham cię.

Jack skinął głową, uśmiechając się jak wariat.

Wciąż się uśmiechał, kiedy z salonu doleciał go cichy szmer. Chwilę później drzwi huknęły o ścianę i do sypialni wbiegło trzech mężczyzn.

Zareagował błyskawicznie. Myślał tylko o tym, by chronić Ginę. Chwycił jedyny przedmiot znajdujący się pod ręką: lampkę nocną. Zamachnął się, kiedy lider grupy, łysy olbrzym, skierował w niego broń z tłumikiem.

- Niech pan się nie wygłupia, ambasadorze.

Jack rozpoznał głos, zanim jeszcze Dominic St. Sebastian wyłonił się zza olbrzyma.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gina otworzyła drzwi łazienki.

- No więc... - urwała.

Obwiązana ręcznikiem kąpielowym patrzyła z przerażeniem na mężczyzn w pokoju. Jack trzymał uniesioną lampę, jakby to był kij baseballowy. Ogolony na łyso bandzior mierzył do niego z broni. Drugi wpatrywał się lubieżnie w jej ciało. Dominic natomiast usiłował przekazać jej wzrokiem wiadomość, której nie potrafiła rozszyfrować.

- Co... - Cofnęła się i wpadła na ścianę. - Co się...?

- Świetnie, ambasadorze - powiedział drugi bandzior. Miał tak silny akcent, że trudno było go zrozumieć. - Za twoją kobietę możemy dostać dobrą cenę, nie?

- Jack... Domi! Co się dzieje?

Dominic postąpił w jej stronę, wciąż dając jej oczami jakieś dziwne znaki.

- Posłuchaj, Gino. Ja i ci panowie musimy dokończyć pewną niezłatwioną sprawę, która dotyczy Jacka. Kiedy się ockniesz, wszystko zrozumiesz.

- Kiedy się ocknę...?

Na jego ponurej twarzy zobaczyła przepaszający uśmiech. Chwilę później została uderzona w szczękę. Poczowała, że Dominic ją łapie i usłyszała, jak Jack przeklina. Rozległ się strzał, a potem zapadła ciemność.

Gdy odzyskała przytomność, leżała na łóżku, przykryta ręcznikiem. Nie wiedziała, dlaczego boli ją szczęką. I nagle przypomniała sobie przerażający widok: obcy mężczyźni, Dominic, pistolet z tłumikiem.

- Jack!

Wyskoczyła z łóżka. Zakręciło się jej w głowie. Szybko przytrzymała się słupka, by nie upaść. Ręcznik zsunął się na podłogę. Podniosła go, kiedy obraz przed oczami przestał falować, i rzuciła się pędem do salonu.

Nie było nikogo, ani Jacka, ani Dominica, ani bandziorów. Wszystko stało na swoim miejscu.

Boże, czy Dominic... W co był zamieszany? Dlaczego sprowadził bandziorów? Czego chcieli?

Pięć godzin później wciąż nie знаła odpowiedzi na te pytania. Nie znała ich też armia lokalnych, stanowych i federalnych funkcjonariuszy, którzy po jej telefonie na policję przybyli do Excelsioru.

Najpierw zjawiała się ochrona hotelowa, chwilę później dwóch policjantów w mundurach. Po piętach deptali im dwaj detektywi w cywilnym ubraniu, technicy z zespołu kryminalistycznego, którzy zebrali odciski, ponury człowiek z jednostki antyterrorystycznej, dwóch agentów federalnych, ktoś z biura gubernatora, reprezentant Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego oraz wysoka kobieta z nowojorskiego biura Departamentu Stanu przysłana przez swojego szefa, aby dowiedziała się, co do diabła stało się z ambasadorem Masonem.

Starsza agentka FBI, Pamela Driskell, przejęła kontrolę.

- Zgodnie z obowiązującym prawem FBI jest odpowiedzialne za bezpieczeństwo obywateli amerykańskich - wyjaśniła. - Proszę mi powiedzieć, co pani wie na temat swojego kuzyna.

Gina zaczęła od niespodziewanej wizyty Doma i jego siostry, a skończyła na wczorajszych rewelacjach.

- Nie znam szczegółów. Wiem tylko, że ich drogi... to znaczy Dominica i ambasadora Masona zeszły się kilka lat temu podczas oenzetowskiej misji dotyczącej handlu kobietami.

Driskell zerknęła na przedstawiciela Departamentu Bezpieczeństwa.

- Wiesz coś o tym?

- Sprawdź. - Wyciągnął telefon. Kobieta ponownie skupiła uwagę na Ginie.

- Co jeszcze?

- Wiem, że w owym czasie kuzyn pracował dla Interpolu.

- To też sprawdzimy. Teraz powinniśmy porozmawiać z siostrą pani kuzyna. Hej! - zwróciła się do kręcących się wokół ludzi. - Ma ktoś jakieś pytania do panny St. Sebastian? Nie? Okej, Kowalski i ja odwieziemy ją do domu i porozmawiamy z Anastazią St. Sebastian.

Na dole Ginę przywitał Jerome, który z z troskaniem popatrzył na jej posiniaczoną twarz.

- Nie jest tak źle, jak by się mogło wydawać - zapewniła portiera. W rzeczywistości bolało jak diabli, ale po co staruszek ma się martwić.

- Dwaj funkcjonariusze policji są już na miejscu.

Gina skinęła głową. Driskell prosiła o nich na wypadek, gdyby Dominic się pojawił w Dakocie.

- Jeden czeka na dole, a drugi wjechał na górę. Co się dzieje, lady Eugenio?

- Podejrzewamy, że porwano ambasadora Jacka Masona - odparła agentka Driskell. - I że Dominic St. Sebastian maczał w tym palce.

- Niemożliwe! - zawołał Jerome.

- Dlaczego?

- Bo widziałem, z jaką troską i szacunkiem pan Dominic i jego siostra odnoszą się do księżnej.

Driskell wykrzywiła ironicznie wargi.

- O której przyszedł pan dziś do pracy?

- O dziewiątej.

Wydarzenia w Excelsiorze miały miejsce kilka godzin wcześniej, mimo to agentka pytała dalej:

- Nie widział pan kręcących się w pobliżu mężczyzn? Jeden wielki i łyсы, drugi mniejszy, mówiący z silnym akcentem?

- Zapewniam panią, że gdybym widział obcych kręcących się bez celu przy Dakocie, powiadomiłbym policję - oznajmił urażonym tonem Jerome.

- Zatem nie widział pan.

Policjant w holu również nie widział ani Dominica i jego rzekomych wspólników, ani ambasadora Masona. Drugi policjant, któremu polecono czekać w apartamencie księżnej, złożył identyczny meldunek.

Gina patrzyła na babkę. Księżna siedziała sztywno wyprostowana, obok niej siedziała przygarbiona Maria. Na twarzach obu kobiet malował się niepokój.

- Eugenia! - Babka odetchnęła z ulgą.

Gina podbiegła do jej fotela. Z trudem powstrzymała emocje. Nie chciała histeryzować, bojąc się o babkę.

- Nic mi nie jest, babciu.

- A ten siniak na policzku?
- Dominic mnie ogłuszył - przyznała.
- Nie! - Głośny protest wyrwał się z piersi Zii.

Dziewczyna poderwała się z kanapy, w jej oczach płonął ogień.

- Mój brat nie uderzyłby kobiety!
- A jednak.
- Nie wierzę!

Jej słowa dały Ginie do myślenia. Dwie osoby w ciągu pięciu minut, Zia i Jerome, stanęły w obronie Dominica.

- Ja też - rzekła drżącym głosem księżna. - Eugenio, przedstaw mi tę panią, a potem usiądź i opowiedz, co się stało. Odchodziliśmy tu we trzy od zmysłów.

Gina przedstawiła krótko agentkę Driskell i jej partnera. Opowieść trwała niewiele dłużej. Wyszła z łazienki, w pokoju oprócz Jacka zobaczyła Doma i dwóch obcych mężczyzn. Dominic dał jej w zęby. Straciła przytomność, a kiedy ją odzyskała, była sama.

- Nie rozumiem - powiedziała zdenerwowana Zia. - Jeśli to prawda, Dominic musiał mieć ważny powód.

- Chciałabym zadać pani kilka pytań, panno St. Sebastian - rzekła do niej Driskell.

- Doktor St. Sebastian - poprawiła chłodno Zia.

- Oczywiście, przepraszam. Czy mogłabym gdzieś na osobności porozmawiać z doktor St. Sebastian?

- Mario, wskaż pani jadalnię - poprosiła Charlotte, a gdy zostały same, wyciągnęła rękę do wnuczki. - Kochanie, upadłaś po tym ciosie? Czy dziecku...

- Nie, babciu. - Gina przeniosła się na fotel, który Maria zwolniła. - Dominic złapał mnie, zanim wylądowałam na podłodze.

- Uderzył, a potem złapał, żebyś nie wyrządziła sobie krzywdy? Dziwne.

Po jakimś czasie agentka Driskell pożegnała się i wyszła, wcześniej jednak wręczyła Ginie wizytówkę.

- Gdyby kuzyn lub któryś z jego współników kontaktowali się z panią, proszę do mnie zadzwonić.

- Dobrze. A pani... da mi pani znać, gdyby kontaktowali się z biurem Jacka?

Driskell skinęła głową.

- Tak. Aha, zostawię policjanta w holu na dole. Na wszelki wypadek.

Po wyjściu funkcjonariuszy w mieszkaniu zapadła cisza. Maria pierwsza ją przerwała.

- Przyrządź *frittatę*. Trzeba coś zjeść.

Przeszła przez drzwi wahadłowe do kuchni. W salonie została Gina z księżną i wyraźnie przejęta Zia.

- Wiedziałam, że brat pracował dla Interpolu, ale nie miałam pojęcia, że był... - Zmarszczyła czoło, usiłując przypomnieć sobie właściwe określenie.

- Tajnym agentem? - podsunęła Gina.

- No właśnie! - Z każdym słowem jej wschodnioeuropejski akcent pobrzmiwał coraz silniej. - Dominic nigdy nie opowiadał mi o swojej pracy. Rodzicom też nic nie wspomniał.

Gina potarła bolącą szczękę.

- Wczoraj mówił, że już nie pracuje dla Interpolu - przypomniała chłodno Zii. - Że jest niezależnym przedsiębiorcą. Co miał na myśli?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że jego biznes dotyczy ochrony i że ma klientów w wielu częściach świata.

Zia przeczesła ręką włosy. Ubrana była w granatowe legginsy i beżową tunikę z paskiem, która zsuwała się z jednego ramienia. Wysoka, zgrabna, elegancka. Patrząc na nią, Gina znów poczuła się jak pyzaty kurdupel.

Tak się spieszyła do Jacka, że w łazience jedynie opróżniła pęcherz, ochlapała twarz zimną wodą i umyła zęby. Kiedy odzyskała po ciosie przytomność, nie zastanawiała się, jak wygląda, tylko szybko zadzwoniła na policję, po czym wskoczyła w dzinsy i wczorajszy T-shirt. Nie była pewna, czy się uczesała. O makijażu w ogóle nie myślała. Agent towarzyszący agentce Driskell dał jej zimny okład - kostki lodu owinięte ręcznikiem - i kazał przyłożyć do twarzy, by nie spuchła.

Dopiero teraz pomyślała o swoim wyglądzie. Marzyła o prysznicu, grzebieniu, zmianie ubrania i kolejnym zimnym okładzie na twarz, ale bała się odejść od telefonu. A nuż Driskell zadzwoni? Albo Dominic lub Jack? Toczyła wewnętrzną walkę, kiedy nagle Zia powiedziała:

- Ta cała sytuacja jest szalenie krępująca i niewygodna dla nas obu. Pójdę spakować nasze rzeczy i przeniosę się do hotelu.

Księżna ściągnęła brwi, ale zanim zdążyła się odezwać, zadzwonił telefon. Gina rzuciła się do aparatu. Niech to będzie Jack! - modliła się żarliwie.

- Halo? Halo!

- Gina? Dzięki Bogu!

Słysząc jakiś ryk, niewiele poza tym. Gina z całej siły wyczężyła słuch.

- Babcia zadzwoniła do nas skoro świt - powiedziała Sara, przekrzykując hałas. - Że miałaś jakiś wypadek albo co. Dobrze się czujesz?

- Tak.

- A dziecko?

Gina przyłożyła dłoń do brzucha. Całe szczęście, że Dominic ją złapał, zanim runęła na podłogę. Nagle zrozumiała, że od początku o to mu chodziło: żeby ją „wyłączyć” z akcji.

- W porządku - zapewniła siostrę. - Co to za hałas? Gdzie jesteś?

- Za chwilę lądujemy na heliporcie przy Trzydziestej Czwartej.

- Jesteście w Nowym Jorku?

- Dwie minuty po telefonie babci Dev zamówił swój prywatny odrzutowiec. Za kwadrans będziemy w Dakocie. Gino, przysięgasz, że nic ci nie jest?

- Słowo.

- Okej, do zobaczenia.

Gina z trudem powściągnęła łzy. Psiakość! Te hormony ją wykończą! Świadomość, że siostra rzuciła wszystko, by być przy jej boku, wzruszyła ją do głębi serca.

- To była Sara - poinformowała babkę.

- Domyśliłam się. Przyjechali?

- Za moment lądują.

- Dzięki Bogu. - Księżna zacisnęła powieki. Kiedy je z powrotem uniosła, na jej twarzy malowała się ulga. - Jeśli ktokolwiek może to rozwikłać, to tylko Dev.

Gina nie wiedziała, w czym Dev był lepszy od dwóch tuzinów funkcjonariuszy lokalnych, stanowych i federalnych, ale też w niego wierzyła. Funkcjonariuszy obowiązywały procedury, których Dev nie musiał przestrzegać.

- Pójdę się spakować - powtórzyła Zia. - Potrzebny będzie pokój dla twojej drugiej wnuczki...

- Poczekajmy na Sarę i Deva - rzekła Charlotte.

I Zia, i Gina domyśliły się, o co jej chodzi. Księżna nie chciała, by Zia znikła, zanim Dev z nią porozmawia. Zia skinęła głową.

- Dobrze. - Ni stąd, ni zowąd, niczym powietrze z balonu, uszła z niej energia. Skuliła się. - Dominic jest najlepszym bratem na świecie - dodała cicho. - Nic z tego wszystkiego nie rozumiem.

Jej rozpacz była autentyczna. Jeśli Zia kocha brata choć w połowie tak jak ona, Gina, kocha Sarę, to musi bardzo cierpieć. Zrobiło jej się żal kuzynki. Wstała, zamierzając ją uścisnąć, kiedy rozległ się dzwonek interkomu.

- Lady Eugenio, jakiś pan przyszedł do pani. Niejaki John Mason...

- Ojej! Wpuść go, Jerome! Dzięki Bogu! Jack żyje, wrócił!

Gina rzuciła się do drzwi. Przeszepowała podniecona z nogi na nogę, czekając na przyjazd windy. I wtem zamarła. Z windy wysiadł ojciec Jacka; z jego oczu biła ledwo tłumiona furia.

- W coś ty wmieszała mojego syna?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Gina cofnęła się zaskoczona oskarżeniem. Zanim zdołała coś powiedzieć, z mieszkania wybiegła Zia.

- Chodź szybko! Dzwoni Driskell. Chyba zdobyli namiary na jednego z porywaczy.

Gina obróciła się i pognąła do salonu. Za sobą słyszała dudniące kroki, ale nie myślała o ojcu Jacka. Z bijącym sercem wzięła od księżnej telefon.

- Mówi Gina St. Sebastian. Co się dzieje?

- Dostaliśmy wiadomość z Interpolu - odparła Pamela Driskell, z trudem kryjąc radość. - Trzy dni temu Antonio Cordi znikł im z radaru. Prawdopodobnie, posługując się fałszywym paszportem, przekroczył granicę Stanów.

Nazwisko mężczyzny nic Ginie nie mówiło.

- A kim jest ów Cordi?

- To capo, głowa rodziny mafijnej działającej na południu Włoch. Niestety nikomu nie udało się jej infiltrować ani zdobyć dowodów, które by faceta obciążły.

- Ale... - Gina tak mocno ścisnęła słuchawkę, że kłykcie jej zbieleły. - Ale co ma Jack... ambasador Mason wspólnego z szefem mafii?

- Ja wiem - oznajmił pobladły John Harris Mason II.

Gina wciąż stała ze słuchawką przy uchu, starając się przetrwać słowa Johna II, kiedy z korytarza doleciały ją jakieś odgłosy. Boże, spraw, żeby to był Jack!

Na widok Sary i Deva odczuła wielką radość, a zarazem wielki smutek. Pomachawszy do siostry, wróciła do rozmowy z agentką Driskell.

- Jest u nas ojciec ambasadora Masona. Twierdzi, że ma jakieś informacje o tym Cordin.

- Niech się nie rusza z mieszkania. Ja i mój partner jesteśmy kilka przecznic od Dakoty. Zaraz tam będziemy.

Gina odłożyła słuchawkę.

- Agentka Driskell prosi, żebyś na nią poczekał. Jest już w drodze.

- Eugenio... - Księżna zastukała laską o podłogę. - Gdzie twoje maniery?

- Przepraszam, babciu. Przedstawiam ci ojca Jacka, Johna Masona II. John, to jest moja babka, księżna Charlotte, moja siostra Sara, szwagier Dev i... kuzynka Zia.

To krótkie wahanie było niezamierzone. W głębi serca nie wierzyła, aby Dominic przeszedł na stronę wroga, lecz podobnie jak Zia wciąż nie rozumiała jego roli w porannych wydarzeniach.

Zia skinęła przybyszom na powitanie, a Gina przypomniała sobie oskarżenie, jakie rzucił pod jej adresem ojciec Jacka. Miała nadzieję, że babka tego nie słyszała, inaczej może się polać krew. Na szczęście Masonowi się upiekło. Podpierając się na lasce, księżna wstała z fotela i wyciągnęła do gościa zylastą dłoń.

- Żałuję, że spotykamy się w tak smutnych okolicznościach. Mogę do ciebie mówić John, prawda?

Mężczyzna skinął głową. Widać było, że myśli o synu, a nie o etykiecie czy formach grzecznościowych.

- Doskonale - rzekła księżna. - A ty możesz do mnie mówić Charlotte. Teraz bądź łaskaw usiąść i wyjaśnić nam, co ma wspólnego twój syn z Cordim.

Mason machnął ręką.

- Skoro agentka Driskell jest już w drodze, to poczekam na FBI...

Gina rozumiała, że jego szorstkość wynika z niepokoju o syna, ale wystraszyła się, gdy zobaczyła minę babki.

- I tu się mylisz! - Czubkiem laski księżna dźgnęła Masona w pierś. - Widzisz tego sińca na twarzy mojej wnuczki? - spytała lodowatym tonem. - Jeżeli znasz powód, dlaczego kuzyn Giny wymierzył jej cios, a potem razem z twoim synem rozpląnął się w powietrzu, to ja również chciałabym go poznać.

Gina podejrzewała, że John II rzadko chowa ogon pod siebie. Teraz potulnie spełnił polecenie księżnej.

- Nie umiem powiedzieć, dlaczego kuzyn uderzył Ginę ani jaką w tym wszystkim odgrywał rolę... Co do Jacka i Cordiego, to mam pewne podejrzenia, ale nie mogę ich poprzeć żadnymi dowodami. Otóż lata temu przeprowadziłem delegacji badającej praktyki bankowe pozwalające na pranie brudnych pieniędzy, zarówno w Stanach, jak i za granicą. Spędziliśmy wiele miesięcy w Ameryce Południowej, jeszcze więcej w Europie, analizując rachunki rzekomo należące do włoskiej organizacji przestępczej zwanej Ndranghetą.

- Kontynuuj - poprosiła księżna. - I usiądź.

Z Johna II uszła wrogość. Opadł bez sił na krzesło. Nagle wydał się znacznie starszy niż w rzeczywistości.

Gina, Sara i Zia usiadły na kanapie, Dev na krześle przy sekretarzyku. Wszystkie pary oczu były zwrócone na Masona, który w kilku zdaniach usiłował streścić dramatyczne wydarzenia sprzed lat.

- W Rzymie z pomocą władz włoskich zaczęliśmy w końcu rozszyfrowywać zagadkę. Jeden z tropów doprowadził nas do członka Ndranghety, niejakiego Francesca Cordiego.

- Myślałam, że facet ma na imię Antonio - zdziwiła się Gina.

- Francesco był bratem Antonia.

- Był?

- Nie żyje.

John II potarł ręką brodę. Nie ulegało wątpliwości, że tamte wspomnienia z Rzymu odcisnęły na nim piętno.

- Gościowi nie podobało się, że wężymy i postanowił się nas pozbyć. Dwóch moich współpracowników zginęło, kiedy ich samochód wybuchł. Odkryliśmy później, że byłem następnym do likwidacji. Na szczęście lub nieszczęście Jack przyleciał, kiedy usłyszał o naszych kłopotach. Był ze mną, kiedy Francesco przystąpił do działania. - Cień uśmiechu przemknął po twarzy emerytowanego dyplomaty. - Francesco... nie było co zbierać. Jego brat nigdy się z tym nie pogodził.

- Teraz Antonio jest w Stanach - Gina poinformowała siostrę i szwagra. - FBI dostało cynk, że...

Ponownie rozległ się dzwonek interkomu.

- To pewnie agentka Driskell. Myliła się.

- Przepraszam, że przeszkadzam, lady Eugenio, ale stoi koło mnie niejaki Dale Vickers - oznajmił Jerome.

Psiakrew! Tylko jego brakowało. Zacisnąwszy powieki, Gina przytknęła czoło do ściany.

- Chce z panią porozmawiać. Czy mam go wpuścić?

Nie!

Wiedziała, że ten wredny nadgorliwy dupek nie ma żadnych informacji o porwaniu Jacka. Gdyby miał, udałby się prosto do FBI. Zresztą podejrzewała, że już i tak próbował wyciągnąć coś od federalnych, a teraz będzie próbował od niej. Właściwie nie mogła go winić. Vickers z Jackiem znali się od lat. Facet był równie przejęty sytuacją jak wszyscy tu obecni.

- Tak, proszę wpuścić - rzekła, wzdychając ciężko.

Ledwo dotarł na górę, potwierdziły się jej podejrzania. Vickers rozmawiał z absolutnie każdym funkcjonariuszem uczestniczącym w tej sprawie.

- Nie potrafią lub nie chcą mi nic powiedzieć. Jedyne potwierdzili, że pieprzyliście się, kiedy go porwa...

- Zamilcz, młody człowieku! - Księżna, rozsierdzona, zmrużyła groźnie oczy. - Albo się będziesz zwracał z należytym szacunkiem i kurtuazją do lady Eugenii, albo natychmiast opuścisz to mieszkanie.

- Ja...

- Czy się rozumiemy?

- Ja tylko.

- Wystarczy: tak, proszę pani.

- Tak, proszę pani.

Mimo napięcia Sara z Giną wymieniły porozumiewawczy uśmiech. W obecności babki więksi i silniejsi mężczyźni od Dale'a trzęśli się ze strachu.

Jednak uśmiech już po chwili znikł z twarzy Giny.

- Wiem, tonący brzytwy się chwyta... - Vickers, zbyt spięty, aby usiąść, zaczął wydeptywać w podłodze ścieżkę - ale przyszło mi do głowy, że może ta cała sytuacja ma coś wspólnego ze spotkaniem Jacka z prezesem Global Protective Services podczas tej imprezki parę dni temu przygotowanej przez Tremayne Group.

Imprezki? Gina z trudem powściągnęła furię.

- Jeżeli ci z Global uznali, że Jack chce im przeszkodzić w podpisaniu lukratywnego kontraktu na ochronę ambasad, może postanowili się go pozbyć - ciągnął Vickers. - Kiedy zadzwoniłem do Nikki, zapewniła mnie...

- Zaraz, zaraz! Do Nikki? - spytała z niedowierzaniem Gina. - Nicole Tremayne? Mojej szefowej?

- Oczywiście. Dostaje od nas mnóstwo zleceń, odkąd ty z ambasadorem... odkąd zaczęliście się spotykać. Postawiłaś Jacka w niezręcznej sytuacji, zachęcając go, żeby przyszedł na imprezę sponsorowaną przez Global.

Gina puściła ostatnie zdanie mimo uszu. Była zszokowana informacją, że biuro Jacka korzysta z usług TTG. Cały czas sądziła, że szefowa ceni ją za jej pracowitość i kreatywność, a tu okazuje się, że... Boże, jaka jest naiwna!

Poderwała się z kanapy. Nie zamierzała płakać w obecności Vickersa, ledwo jednak powstrzymywała łzy.

- Lada moment powinna zjawić się agentka Driskell - powiedziała. - Saro, wpuścisz ją, dobrze? Ja muszę...

Wskazawszy korytarz prowadzący na tył mieszkania, obróciła się na pięcie. Oczy ją piekły. Doszła do łazienki pomiędzy jej pokojem a dawnym pokojem siostry, usiadła na taborecie i oparła się łokciami o blat szafki.

O dziwo, nie zalała się łzami. Ograbiona z poczucia dumy wpatrywała się w ścianę, czekając, aż fontanna tryśnie jej z oczu. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, dlaczego tak się nie stało.

Po prostu to wszystko nie miało znaczenia: ani jej praca, ani TTG, ani wypowiedzi Vickersa. Tylko jedno się liczyło: bezpieczeństwo Jacka. Była gotowa znieść każde upokorzenie, byleby wrócił. Wciąż wpatrywała się tępo w ścianę, kiedy Sara zastukała do drzwi.

- Gina? Dobrze się czujesz?

- Jako tako.

- Mogę wejść?

Mruknęła, że tak. Kiedy zobaczyła zatroskaną minę siostry, łzy napłynęły jej do oczu. Sara tyle razy wybawiała ją z mniejszych i większych opresji; tyle razy, na jej prośbę, pocieszała biedaków, w których ona, Gina, zakochiwała się, a potem porzucała.

- Hej, wszystko się ułoży, zobaczysz. - Siostra pogładziła ją po głowie. - Będzie dobrze. Z tego, co słyszałam, Jack nieraz bywał w opałach i zawsze sobie radził. Teraz też sobie poradzi.

Jack był głodny, obolały i wściekły. Od wielu godzin siedział na chybottliwym stołku. Ręce miał związane za plecami, ostre plastikowe paski wżynały mu się w nadgarstki. Rana od kuli, która drasnęła go w ramię, już nie krwawiła, ale czuł straszne swędzenie tam, gdzie zaschła strużka krwi.

Przed wyjściem z hotelu napastnicy kazali mu włożyć koszulę i marynarkę. Spełnił ich polecenie. Gdyby mu kazali, skoczyłby z ósmego piętra, byleby ten skurwiel Dominic nie wyrządził Ginie jeszcze większej krzywdy.

Ale siedząc związany, miał czas na przemyślenia. Przypomnił sobie, jak szybko Dominic wsunął się między uzbrojonych bandziorów a Ginę. Uderzył ją, a potem przytrzymał, gdy ogłuszona straciła równowagę. Można było odnieść wrażenie, że chciał ją „unieszkodliwić”, zanim jego kumple skierują w nią broń.

Jeśli tak było faktycznie, to nie zdradził Jackowi swych zamiarów. Razem z niższym bandziorem znikł, zostawiając Jacka w starym pustym magazynie. Więźnia miał pilnować ogolony na łyso Goliat.

Jack westchnął. W ciągu ostatnich sześciu godzin olbrzym dwukrotnie stawał pod brudną ścianą, żeby się wysikać. Zapach jego moczu mieszał się z obecnym w budynku zapachem wymiocin, szczyń, kału i szczurzych odchodów. Kilka razy gość rozmawiał przez telefon, ale w jakimś niezrozumiałym języku. Poza tym jednak milczał.

Obracając się na stołku, Jack podjął kolejną próbę.

- Hej, ty! Niemoto! Nie gadasz po angielsku?

Powtórzył to samo po hiszpańsku, po francusku, wreszcie po rosyjsku. Łypiąc na niego wrogo, olbrzym potrząsał swym masywnym łbem.

W tej sytuacji Jack uznał, że nie może dłużej czekać. Skoro do tej pory nie pojawił się żaden z szukających go policjantów i agentów, mała szansa, że w ogóle się pojawią. Jeśli chce się uwolnić, musi liczyć na siebie.

Po raz piąty czy szósty rozejrzał się po ciemnej ponurej hali. Nie tylko szcurze odchody zanieczyszczały podłogę. Poplamiony materac, resztki zepsutego jedzenia, pordzewiałe puszki i strzykawki świadczyły o tym, że budynek upodobał sobie bezdomni i narkomani.

Zatrzymał wzrok na strzykawkach. Już wcześniej o nich myślał, ale były z plastiku, nie ze szkła. Nawet gdyby niepostrzeżenie zdołał jakąś przysunąć, a potem jeszcze podnieść, to plastikiem i tak nie rozciąłby więzów.

Czyli lepsza byłaby zardzewiała pushka. Najbliższa leżała mniej więcej w odległości metra. Gdyby zaczął szurać stołkiem, Goliat by usłyszał. Hm, najlepiej, gdyby rzucił się na podłogę. Byleby tylko nie huknął głową w beton.

- Hej! Ty! - Goliat zerknął znudzony. - też muszę się odlać. - Trudno pokazywać na migi, kiedy nie można używać rąk. Jack wskazał brodą na swój rozporek.

Ponieważ nie było reakcji, wskazał na zasikaną ścianę, następnie usiłował wstać. Olbrzym mruknął coś ostrzegawczo, ale Jack go zignorował. Już prawie stał, gdy olbrzym zerwał się na nogi i zamachnął wielką łapą, w której trzymał pistolet z tłumikiem.

Jack zachwiał się i upadł na betonową podłogę, przewracając z sobą chwiejny stołek. Goliat ponownie warknął coś pod nosem i chwycił więźnia za ramię, oczywiście to draśnięte przez kulę. Jack skrzywił się z bólu, co bardzo rozbawiło strażnika. Facet ponownie warknął, pewnie coś w stylu: „sam tego chciałeś”, postawił stołek, usadził na nim Jacka i ruszył w stronę swojego krzesła.

- Muszę się odlać - powtórzył Jack i znów zaczął wstawać.

Goliat zareagował tak jak poprzednio, tylko tym razem już nie podniósł stołka, a Jacka zostawił na podłodze. Nie spuszczać oczu z faceta i przeklinając, Jack zacisnął rękę na puszcze. Ostrożnie obrócił ją, tak by ostrym kaniem dotykała pasków na nadgarstkach. Piłując je, próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio robił zastrzyk przeciwężcowy. Ale to było najmniejsze z jego zmartwień. Wiedział bowiem, że z kumplami Dominica St. Sebastiana nie ma żartów.

Jego podejrzenia wkrótce się potwierdziły. Zadzwoił telefon. Goliat zerknął na wyświetlacz i przyłożył aparat do ucha. Wydał z siebie ze dwa pomruki i rozłączył się. Parę sekund później otworzyły się drzwi na końcu pomieszczenia.

Jack przekręcił się twarzą do drzwi, a związanymi rękami do ściany. Zachlapana krwią pushka wyślizgiwała mu się z palców. Ale nie mógł się poddać.

Do budynku weszło trzech mężczyzn. Jednego rozpoznał, drugiego nie widział na oczy, trzecim był Dominic. Na widok leżącego na betonie ciała jego twarz stężała. Usiłował wzrokiem przekazać Jackowi wiadomość, ale zanim Jack ją odczytał, między nimi ustawił się nieznaną osobnik w eleganckim szarym garniturze i butach o białych dziurkowanych noskach.

- Długo czekałem na tę chwilę, ambasadorze - rzekł, rozciągając wargi w okrutnym uśmiechu.

- Tak?

- Chciałem cię dopaść w Waszyngtonie, ale... Jak to dobrze, że masz kobietę w Nowym Jorku.

Jack ponownie rozkrwawił sobie kciuk. Musiał teraz piłować ostrożnie, tak by obcy niczego nie zauważył.

- Może dla ciebie dobrze, bo dla mnie nie za bardzo. Kim jesteś?

- Antonio Cordi, brat Francesca. Pamiętasz go?

- Owszem, trudno zapomnieć człowieka, który chciał zabić mojego ojca.

- I niestety nie zdołał. Rzadko nam się zdarzają porażki.

- Nam, czyli tobie i innym kanaliom z Ndranghety.

Jack wiedział o konfederacji włoskich rodzin mafijnych, które wzrosły w siłę po upadku Cosa Nostry. Zawierając przymierze z południowo- i środkowoamerykańskimi kartelami narkotykowymi, Ndrangheta stała się jedną z najpotężniejszych organizacji przestępczych na świecie: zajmowała się handlem narkotykami, handlem bronią, prostytutką, szantażem, porwaniami dla okupu.

Ojciec Jacka przewodniczył delegacji usiłującej zbadać, czy organizacja zdołała przeniknąć międzynarodowy system bankowy. Trafili na ślad Francesca Cordiego. Gdy zaczęli węszyć, Cordi przystąpił do działania. Dwóch najwyższych stopniem członków delegacji zginęło, kiedy zdalnie odpalił ładunek w ich samochodzie. Jack przyleciał do Rzymu, gdy usłyszał o zamachu. Był z ojcem, kiedy zjawił się Cordi.

Nigdy nie miał wyrzutów sumienia, że zastrzelił tego drania. Pamiętał jednak, co mówili przedstawiciele włoskiej policji: Ndrangheta zawsze mści się za śmierć swoich żołnierzy. Nie zdziwił się więc, kiedy brat Cordiego wsunął rękę pod klapę perłowszarej marynarki i wyciągnął lśniąca beretę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Gina nigdy nie była w żadnym wojskowym centrum dowodzenia, ale podejrzewała, że na pewno panował tam mniejszy tłok niż w mieszkaniu babki. Za zgodą księżnej agenci federalni przenieśli się do gabinetu, by porozmawiać na osobności z ojcem Jacka. Reszta, czyli Gina, księżna, Sara, Dev, Zia i ten wstręciuch Vickers częstowali się przekąskami, które Maria donosiła.

Najchętniej wskazałaby Vickersowi drzwi, niech gdzie indziej czeka na wieści o Jacku, ale widząc, jak bardzo facet martwi się o przyjaciela, nie miała serca go wyrzucić. Poza tym on i Dev nawiązali nie porozumienia.

Starając się nie myśleć o negatywnych emocjach, jakie Vickers w niej wzbudzał, przyglądała się obu mężczyznom. Vickers miał na sobie drogi garnitur, rozluźniony pod szyją krawat, rozpięty guzik koszuli. Dev natomiast był w dżinsach i jasnej dżinsowej koszuli z podwiniętymi rękawami. Opalony i umięśniony sprawiał wrażenie, jakby więcej czasu spędzał na ranczu rodziców w Nowym Meksyku niż w salach konferencyjnych na całym świecie. Jednak patrząc na nich, nikt nie mógł mieć wątpliwości, który dzierży większą władzę.

- Jesteś pewien, że Jack ma komórkę? - spytał Vickersa.

- Na sto procent.

Marszcząc czoło, Dev sprawdził coś w swoim urządzeniu.

- Nie emituje sygnału.

- Ktoś, nie pamiętam kto, po przybyciu do Excelsiora próbował zlokalizować komórkę Jacka - wtrąciła Gina. - Podobno wszystkie najnowsze mają wbudowany GPS i można je namierzyć.

- Chyba że bateria jest wyjęta - mruknął Dev, nadal wpatrując się w tajemnicze urządzenie w rękę. - Tak musi być w tym wypadku, inaczej... Zaraz, a Dominic? Znasz numer jego komórki? - zwrócił się do Zii.

- Oczywiście - odparła znużona. - Ale namierzanie jego aparatu też nie przyniosło rezultatu. Policja próbowała.

- Z całym szacunkiem dla naszych organów ścigania, ale mam dostęp do nowocześniejszej technologii. Takiej, która jeszcze jest w stadium badań... Już wiem!

Jego okrzyk wyrwał wszystkich z odrętwienia. Dev wyciągnął z kieszeni własną komórkę.

- Co wiesz? - spytał Vickers.

- Psiakrew! Dlaczego o tym nie pomyślałem?

- O czym?

- Moment. - Dev przyłożył telefon do ucha. - Pat, potrzebny mi kod dostępu do wersji gamma CSR-II...

Próbowałem posłużyć się beta, ale... tak, wiem. Wiem. Po prostu daj mi ten cholerny kod.

- Pat Donovan to prawa ręka Deva - wyjaśniła Zii Gina. - Facet jest geniuszem. Słowo honoru, ma jakieś magiczne zdolności. Jednym telefonem potrafi załatwić wszystko, przenosić góry...

- Może nie góry - wtrąciła Sara - ale na pewno potrafi opróżnić z gości cały hotel w Paryżu. Nie wiem, ile Dev mu za to zapłacił, ale podejrzewam, że majątek.

- Powtórz - poprosił Dev. - Okej. Co? Później ci wyjaśnię.

Rozłączył się i ponownie skupił na urządzeniu, które ścisnął w dłoni. Był to mały płaski aparat z zielonkawym ekranem pokrytym ikonkami, które zmieniały się, gdy przykładał do nich palec. Urządzenie wyglądało jak zwykły smartfon, ale najwyraźniej mogło odczytywać sygnały z kosmosu.

Dev wpisywał do urządzenia kod dostępu, kiedy otworzyły się drzwi gabinetu. Ze środka wybiegł partner agentki Driskell i pognął do wyjścia. Driskell wybiegła za nim, a za nią błady jak kreda ojciec Jacka.

- Mamy wiadomość o strzelaninie - wyjaśniła agentka. - Przypuszczalnie ambasador jest w to zamieszany.

- Zamieszany? Jak? - Gina poderwała się gwałtownie, przewracając krzesło. - Agentko! Czy Jack jest ranny?

- I mój brat? - Zia też poderwała się na nogi.

- Nie wiem - odparła w biegu Driskell. - Dam wam znać.

- Idę z wami! - zawołała Gina, ale agenci byli już na zewnątrz.

Pełną napięcia ciszę przerwał Dev.

- Gina, masz numer Driskell?

- Tak. - Z kieszeni dzinsów wyciągnęła wizytówkę. Dev wpisał numer do swojego urządzenia.

- Mam ją. Chodźmy.

Gina, Zia, ojciec Jacka i Dale Vickers byli gotowi.

- Hej, nie możemy wszyscy...

- Jestem lekarzem - przerwała Devowi Zia. Oczy płonęły jej dzikim blaskiem. - Jeśli Dom... jeśli ktokolwiek został ranny, przydam się.

- Ja też idę! - warknął John Mason.

Dale Vickers nic nie powiedział, ale jego spojrzenie mówiło: „Tylko próbujcie mnie zatrzymać”. Jedna Sara okazała powściągliwość.

- Zostanę z babcią. Ale proszę - popatrzyła błagalnie na męża - uważaj na siebie.

- Dobrze - obiecał, znikając za drzwiami. - Będziemy potrzebować dwóch taksówek.

- Saro! - zawołała przez ramię Gina. - Dzwoń do Jerome'a! Potrzebujemy dwóch taksówek. *Pronto!*

Gdy wysiedli z windy, taksówki już czekały. Kierując się do pierwszej, Dev wydał polecenie:

- Gina, ty i Zia ze mną. Vickers i Mason wsiadacie do drugiej.

Nie tracąc czasu, zajęli miejsca.

- Serwusik - powitał trójkę swoich pasażerów kierowca z karaibskim akcentem pasującym do długich dredów i kolorowej wełnianej czapeczki. - Dokąd jedziemy?

- Prosto Central Park West, dopóki nie każę skręcić.

Taksiarz wzruszył ramionami i włączył licznik. Dev nie spuszczał wzroku z siatki ulic widocznej na ekranie urządzenia. Pochyliwszy się, Gina zajrzała mu przez ramię. Widziała jedynie przesuwającą się czerwoną kropkę.

- To Driskell?

- Tak.

- A jeśli zadzwoni do kogoś albo ktoś do niej? Nie zgubisz jej?

- Wtedy w dziale badawczo-rozwojowym polecą głowy.

Gina zdenerwowana ścisnęła dłoń kuzynki. Ta uśmiechnęła się do niej z nadzieją w oczach.

- Będzie dobrze, zobaczysz. Ani Jackowi, ani mojemu bratu nic się nie stanie. Ale dla pewności pomodłę się do świętego Stefana. To patron ziem, z których pochodzi twoja babka.

Gina nic o tym nie wiedziała, ale była gotowa modlić się do każdej istoty, która mogłaby im pomóc. Czując, że kuzynka jest bliska załamania, Zia postanowiła zająć jej uwagę:

- Stefan po węgiersku to Istvan. Urodził się mniej więcej w dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku, dokładnej daty nikt nie zna. Jego ojcem był książę Węgier Géza i jego żona Sarolta, córka Gyuli Siedmiogrodzkiego.

Na dźwięk Siedmiogrodu, inaczej Transylwanii, Gina odwróciła głowę. To tam wilkołaki wyskakują z trumien? A może chodzi o wampiry, które zmartwychwstają? Ech, do diabła z tymi bzdurami!

Zia kontynuowała swój monolog. Spokojnym tonem opowiadała o tym, jak Istvan poślubił księżniczkę bawarską Gizelę, a po śmierci ojca został władcą Węgrów. Zwalczał pogaństwo, umacniał wiarę chrześcijańską, długo pozostawał w żałobie po stracie syna, Emeryka, który zginął podczas polowania. Potem kuzyn Istvana, Vazul, wziął udział w spisku, chcąc go zabić.

Nagle Dev polecił taksówkarzowi, by skręcił w lewo.

- Spisek się nie udał... - ciągnęła Zia. - Król oślepił krewniaka i kazał mu zatkać uszy rozpuszczonym ołowiem.

- Aha - mruknęła Gina, wpatrując się w migoczącą czerwoną kropkę.

- Podobno tuż przed śmiercią Istvan poprosił w modlitwie dziewicę Maryję, aby roztoczyła opiekę nad królestwem Węgier. Zmarł w dniu, w którym obchodzone jest wniebowstąpienie Maryi.

Gina słuchała jednym uchem. Jej uwaga skupiona była na moście, do którego się zbliżali. Jako rodowita mieszkanka Nowego Jorku rozumiała, dlaczego taksjarsz zaczął protestować.

- Nie wjadę do tej części Brooklynu! - zawołał, potrząsając dredami.

- A za pięć stów? - spytał Dev.

- Wtedy chętnie, szefuniu.

Gina zerknęła za siebie. Druga taksówka jechała za nimi. Ciekawe, ile zaoferował kierowcy ojciec Jacka?

Za mostem znajdował się teren porzuconych magazynów i rozpadających się budynków przemysłowych. Kiedyś planowano rewitalizację tej części miasta, ale na planach się skończyło. Obecnie w domach, które jeszcze się nie zawaliły, artyści wynajmowali całe piętra. Gina zauważyła różowy neon studia filmowego. Inny, mniej krzykliwy, reklamował „farmę ekologiczną”. Niestety większość murów była pokryta graffiti, większość okien nie miała szyb, a wszędzie wałały się tony śmieci.

Z każdym przejechanym metrem traciła nadzieję. Kiedy skręcili w boczną ulicę, z przerażeniem zobaczyła ze dwadzieścia wozów policyjnych. Taksówkarz zahamował z piskiem opon.

- Dalej nie jadę. Mogą mieć psy.

- Chryste! - mruknął Dev. - Co ty, człowieku, wozisz... Zresztą nieważne.

Podał kierowcy plik banknotów i pchnął ramieniem drzwi. Gina z Zią również wysiadły.

- Poczekajcie tu, a ja zorientuję się w sytuacji.

- Nic z tego! - sprzeciwiła się Gina. Patrzyła na dwie zaparkowane obok siebie karetki.

Zia pobiegła przed siebie, Gina za nią. Dev zaklął pod nosem i ruszył za dziewczynami. Gdyby zaczęto strzelać z okna, musiał chronić Ginę własnym ciałem. Sara nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby cokolwiek stało się jej siostrze. Taksówkarz szybko zawrócił, niemal zderzając się z drugą nadjeżdżającą taksówką. Dev usłyszał, jak drugi pojazd hamuje, jak drzwi się otwierają i zatraskują, a potem odgłos kroków na chodniku.

Na szczęście wszyscy cali dotarli do radiowozów. Strzały nie padły. Ale kiedy Gina z Zią nie zatrzymały się, jeden z mundurowych przysunął dłoń do kabury.

- Stójcie! - rozkazał, gdy rozstępując się jak Morze Czerwone, chciały obieć go wkoło.

Wyciągnawszy rękę, chwycił za łokieć Anastazję.

- *Vagyok orvos!* - krzyknęła z furią. - Jestem lekarzem!

Zdenerwowanie i wściekłość sprawiły, że angielski mieszał się jej z węgierskim, a silny akcent utrudniał zrozumienie czegokolwiek.

- Macie czekać, dopóki nie sprawdzę waszych dokumentów i nie uzyskam zgody...

- *Ide*, Anastazia!

Głos dobiegł z nieoznakowanego pojazdu. Zia odwróciła się i wydała okrzyk radości. Inni też się obrócili. Zobaczyli idącego w ich stronę Dominica. Z rany na policzku ciekła mu krew. Oko miał podbite, rękę opuszczone wzdłuż ciała. Był sam.

Cholera jasna! Dlaczego sam?

Zanosząc się szlochem, Gina wymięła policjanta i ruszyła biegiem. Zanim gliniarz zdążył zareagować, Dev ostrym tonem polecił mu pilnować reszty przybyłych.

Po chwili Gina dopadła Dominica.

- Gdzie jest Jack? Co z nim zrobiłeś? Jeśli ty albo któryś z twoich bandziorów wyrządziliście mi krzywdę, wyrwę ci serce i wpakuję do gardła!

Dominic wytrzeszczył oczy. Gina sama była zaskoczona brutalnością własnej groźby. Nagle zdała sobie sprawę, że nie płacze. Najwyraźniej hormony kazały jej się skupić na mordzie. Jeśli ten człowiek skrzywdził Jacka, to sto razy będzie wolał mieć do czynienia z Ndran-coś-tam niż z nią, Giną.

- Powiedz, do cholery! Gdzie jest Jack? Dominic ujął ją za nadgarstki.

- Tu, Gino. - Obrócił ją. - Rozmawia z FBI. Zauważyła go w tym samym momencie co on ją.

Wyszarpnęła rękę. Dziesięć sekund później padli sobie w objęcia. Biegnąc, widziała, że Jack jest poobijany. Widziała również jego oczy, które iskrzyły się niczym rozjaśnione fajerwerkami niebo w święto narodowe. Z miłością i niewysłowioną ulgą przywarła ustami do jego warg. Nagle poczuła coś lepkiego na rękawie jego marynarki. To ją otrzeźwiło.

- Jesteś ranny - szepnęła.

- Ty też. - Ujął w palce jej brodę i spojrzał na siniak na policzku. - Podbiłem twojemu kuzynowi oko, ale to za mało. Jeszcze się z nim porachuję.

- Ty mu podbiłeś oko? - Nic z tego nie rozumiała. - Jeśli brał udział w twoim porwaniu, dlaczego nie jest aresztowany?

- To długa historia. - Jack urwał, widząc nadchodzących mężczyzn. - Cześć, tato. Cześć, Dale.

Nie był zdziwiony ich obecnością. Gina cofnęła się pół kroku. Nie musiała mieć Jacka dla siebie; mogła się nim podzielić z tymi, co go kochają. Z ludźmi, którzy za kilka miesięcy powitają na świecie jej i Jacka dziecko.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

I znów przestronny apartament księżnej posłużył jako centrum dowodzenia. Wszyscy bohaterowie wydarzeń siedzieli przy stole w jadalni. Dla rozładowania napięcia mieli do wyboru: kawę, mrożoną herbatę, soki, *żuta osę* oraz palinkę. Księżna i John II zdecydowali się na śliwownicę. Jack, Dey, Zia i Dom na palinkę. Dale Vickers wolał kawę, a Gina i Sara sok. Księżna poleciła Marii, by usiadła: każdy sam się obsłuży.

Na moment wpadła Pamela Driskell, której towarzyszył Jerome. Starzec z całej siły przytulił Ginę, uściśnął dłoń Jacka, po czym wrócił na dół do pracy.

Z osób uczestniczących w porwaniu brakowało Antonia Cordiego i jego dwóch bandziorów. Cordi nie żył; został trafiony w serce tuż przed przybyciem policji. Jeden ze zbirów, olbrzym, którego Jack nazwał Goliatem, wykrwawił się na śmierć, zanim przyjechały karetki. Drugi zbir spędzi w więzieniu wiele lat.

Przy stole Gina rozmyślała o tym, jak niewiele brakowało, aby zarówno Jack, jak i Dominic zginęli.

- Cordi chyba nie do końca wierzył, że odszedłem z Interpolu - rzekł Dominic. - Wprawdzie dopuścił mnie do 'Ndranghety, ale nie do jej wewnętrznego kręgu.

- Więc żeby go przekonać o swojej lojalności, postanowiłeś skorzystać ze swojego powinowactwa z Giną, żeby dobrać się do mnie? - spytał Jack.

- Cordi przysiągł pomścić śmierć brata. Prędzej czy później by cię dopadł.

Gina słuchała z przerażeniem. W jakiej sieci kłamstw Dominic żył przez niemal rok! Na każdym kroku groziło mu niebezpieczeństwo. Zia była jeszcze bardziej przestraszona. Nie wiedziała, że brat przeniknął do jednej z najokrutniejszych organizacji przestępczych w Europie i że jego „podróż” do Nowego Jorku miała jeden cel.

- Nic dziwnego, że nie chciałeś, abym ci towarzyszyła.

- Nie zabrałbym cię, gdybym sądził, że coś może ci się stać.

- Z siostrą łatwiej było zdobyć zaufanie księżnej - zauważył Dev.

- To prawda. - Dominic uśmiechnął się pod nosem. - Ale nie znasz Zii. Ona potrafi postawić na swoim. Gdybym uznał, że nie zdołam zapewnić jej bezpieczeństwa, musiałbym ją chyba zamknąć w lochach zamku.

- Szkoda, że z Giną obszedłeś się mniej troskliwie - warknął Jack.

Dominic popatrzył ze skrucą na Ginę.

- Wybacz, kuzynko. Nie miałem wyjścia. Inaczej wszystko by się wydało. - Zerknął na Jacka i nagle w jego zdrowym oku pojawił się diabelski błysk. - Gdybyś pozwoliła, chętnie pocałunkami wymazałbym twój ból.

- Ty łobuzie... - syknął Jack przez zęby.

- Dość tego!

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę księżnej. Sara z Giną rozpoznały to groźne spojrzenie.

- Niech mi wolno będzie panom przypomnieć, że jesteście gośćmi w moim domu. Dominicu, masz natychmiast zaprzestać tych prowokacyjnych uwag. A ty, Jack, nie reaguj na zaczepki jak neandertalczyk. Gino...

- Co źle zrobiłam? - Wyprostowała się.

- Chodzi o to, czego nie zrobiłaś. Na miłość boską, powiedz Jackowi, że odwzajemniasz jego uczucie i zaczniście planować ślub.

Ciszę, która nastąpiła, przerwał Jack.

- Z całym szacunkiem, księżno, ale te sprawy dotyczą wyłącznie mnie i Giny.

- Co za dyrdymały! - włączył się ojciec Jacka.

- Tato...

- Zachowałem się jak kretyn, kiedy przyjechałaś z wizytą do Pięciu Dębów - zauważył.

- Nie przeczę. - Gina przyznała mu rację.

- Bardzo cię za to przepraszam. I za swoje słowa rano.

- Chryste, tato! Coś ty...

- Cicho, Jack. To między mną a Giną.

Przez chwilę ojciec i syn mierzyli się wzrokiem, wreszcie syn ustąpił.

- To było grubiaństwo z mojej strony - ciągnął John II. - Po prostu odchodziłem od zmysłów. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Oczywiście. - Wargi jej zadrżały.

Oho! Hormony znów zaczynają szaleć. Teraz, gdy siedziała w domu otoczona wszystkimi, których kochała, nie była pewna, jak długo wytrzyma bez płaczu.

Ojciec Jacka jej w tym nie pomagał.

- Muszę przyznać, Gino, że jeszcze nikt tak nie zawrócił mojemu synowi w głowie jak ty.

- Czy... - przełknęła ślinę - to dobrze?

- Bardzo. Wszyscy próbowaliśmy odciągnąć jego uwagę... - Przez moment, wzruszony, nie był w stanie mówić. - Oboje, i matka Jacka, i ja bylibyśmy dumni, mogąc cię nazwać córką.

Te słowa przeważały szalę.

- Ja... - odsunęła krzesło - muszę do łazienki!

Kiedy wcześniej tam się skryła, przyszła do niej Sara. Tym razem zjawił się Jack, ale w przeciwieństwie do Sary nie zapukał ani nie spytał, czy może wejść. Na szczęście wcale nie chciało jej się susiać. Owszem, siedziała na sedesie, lecz miała na sobie dzinsy, a łzy płynęły ciurkiem po jej policzkach. Tak jak wcześniej Sara, Jack kucnął przy niej, po czym zgarnął ją w ramiona.

- Nie płacz, mała. Proszę. - Obejmował ją, kołysał, a ona czuła, jak wraz ze łzami opuszcza ją napięcie.

- To... to przez te hormony. Ja... nie płaczę. Nigdy! Spy...spytaj babcię. Albo Sarę. Obie potwierdzą.

- Cii, już wszystko jest dobrze.

- Nieee! - załkała. - Nie. - Zacisnęła ręce na jego zakrwawionej koszuli. - Nie miałam okazji powiedzieć ci tego dziś rano, Jack. I... bałam się, że już nigdy nie będę miała. Kocham cię.

- Wiem, kochanie.

- Nie wiesz! - Na jej twarzy malował się wyraz skupienia. - Zakochałam się w tobie podczas pierwszego weekendu, który spędziliśmy razem. Wtedy nie byłam tego świadoma, ale teraz jestem.

- Wiem, i też cię kocham. - Uśmiechnął się jak to on: czarująco, szelmowsko, seksownie. - To co? - Cmoknął ją w czubek nosa. - Wrócimy do jadalni i powiemy księżnej, że może planować wesele?

- Nie.

Zmieszał się, a po chwili zrozumiał swój błąd.

- Ależ ze mnie tępak! Jak mogłem zapomnieć, że jesteś najlepszą na świecie organizatorką przyjęć?

- Wcale... - Nagle hormony znów wzięły górę. - Wcale tak nie uważasz, skoro próbujesz mi pomóc za plecami.

- O czym ty mówisz?

- Dale wspomniał, że korzystacie z Tremayne Group - odparła. - Doceniam twoje wsparcie, naprawdę, ale zależało mi... Chciałam sama, bez znajomości...

- Posłuchaj, Eugenio Amalio Therése St. Sebastian, bo powiem to tylko raz. Jeśli Dale Vickers lub ktokolwiek inny zlecał coś TTG, robił to z własnej woli, bez mojej wiedzy czy zgody. Jasne?

- Jasne. - Skinęła potulnie głową.

- To dobrze. A teraz bądź łaskawa mi powiedzieć, czy chcesz sama wszystko zaplanować, czy...

- Nie.

- A niech to! - zdenerwował się Jack. - Staram się być miły i kulturalny, ale jeśli będzie trzeba, przerzucę cię przez ramię i zaniosę do ołtarza.

Zatrzepotała rękami. Korciło ją, by jeszcze moment się z nim podroczyć, ale wołała nie ryzykować.

- Kusząca wizja, ale chyba lepszy byłby ślub odrobinę bardziej tradycyjny.

- Po prostu powiedz, co chcesz... Poglaskała go czule po policzku.

- Dobrze. A więc chcę, żebyśmy wyszli z łazienki. Potem zadzwonimy do twojej mamy i poprosimy, żeby przyleciała tu jak najszybciej. Następnie pójdziemy zrobić badania krwi, po czym udamy się do sędziego pokoju.

Jack nie miał zastrzeżeń, zamiast jednak wstać, przytulił Ginę mocniej do siebie.

- Jesteś pewna? - spytał z powagą.

- Tak.

- Nie chcesz wielkiego przyjęcia w egzotycznej scenerii?

- Nie chcę ani przyjęcia - rzekła, przeprasząc w duchu swoich szefów i kolegów z pracy - ani egzotycznej scenerii. Chcę wziąć skromny ślub przed sędzią pokoju, tylko ty, ja i najbliższa rodzina.

Powinna była wiedzieć, że nic nie wyjdzie z jej planów. Księżna, Sara i Ellen Mason przypuściły na nią zmasowany atak. Z drugiej strony, może sama siebie oszukiwała z tym skromnym ślubem. Z zapalem organizowała innym przyjęcia i wesela, więc...

Ledwo poinformowali zebranych w salonie o swoich zamiarach, kiedy zadzwoniła Nicole Tremayne. Gina z trudem powściągnęła irytację. Przeklęty Vickers, pomyślała; pewnie od razu zadzwonił do TTG.

- Gino! - zawołała Nikki. - Właśnie się dowiedziałam! Wreszcie poszłaś po rozum do głowy!

- Ja...

- W końcu zgodziłaś się poślubić swojego seksownego ambasadora!

- Tak, zgodziłam się, ale...

- Wiem, że Jack chce cię szybko zaprowadzić do ołtarza i wiem, że zależy ci na skromnej uroczystości.

Ale w czwartek nasza sala w centrum miasta będzie wolna.

- Nikki...

- Czekam na ciebie jutro o dziesiątej. Omówimy szczegóły. A, i przyprowadź babcię. Marzę o tym, by ją poznać, odkąd mój ojciec powiedział, że rzuca dla niej moją matkę. Szkoda, że tego w końcu nie zrobił. Zaoszczędziłabym tysiące dolarów wydanych na terapię. No to *ciao*, kochanie, i o nic się nie martw. TTG wyprawi ci wspaniałe wesele.

Wspaniałe wesele... Te słowa miały uspokoić Ginę, a podziały na nią jak kubek lodowatej wody.

Co będzie z babcią, kiedy ona przeprowadzi się do Waszyngtonu? Zresztą w Waszyngtonie długo nie pomieszka. Vickers wspomniał o jakiejś placówce dyplomatycznej. W grę wchodziły Londyn i Ateny.

Dyskretnym skinieniem dała Sarze znać, że chce porozmawiać. Ta po chwili dołączyła do niej w kuchni.

- Co się stało? - spytała.

- Nic. Jestem samolubną egoistką.

- Bo?

- Bo zgadzając się na ślub, nie pomyślałam o babci. Ona tak cieszy się na myśl o wnuku; zaczęła przebąkiwać, że gabinet można przerobić na pokój dziecięcy. I co? Mam wyjechać i zostawić ją samą?

- Przecież zależy jej na twoim szczęściu. Pragnie, żebyśmy obie były szczęśliwe.

Gina zauważyła w oczach siostry niepokój. Sara miała identyczne obawy przed swoim ślubem z Devem. Znikły dopiero wtedy, gdy Gina zaproponowała, że w takim razie ona wprowadzi się do babki.

- Dev mówił, że może zorganizować tymczasowe biuro w Nowym Jorku - ciągnęła starsza siostra. - Albo moglibyśmy...

Nagle ktoś pchnął drzwi. Do kuchni weszła Zia.

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałam z wami porozmawiać, zanim przeniesiemy się z Domem do hotelu. Nie wiem, czy wiesz - zwróciła się do Sary - że skończyłam medycynę na Uniwersytecie Semmelweisa. To bardzo znana uczelnia. W każdym razie dostałam ofertę rezydentury od kilku szpitali dziecięcych, między innymi od nowojorskiego Kravisa. Dlatego chciałam tu z Domem przyjechać. Jutro idę na rozmowę.

- To wspaniale! - zawołała Sara. - Będziecie miały z babcią okazję lepiej się poznać.

- Tak, ale... - Zia zawahała się. - Księżna zaproponowała, abym u niej mieszkała podczas rezydentury.

Nie chcę nadużywać jej gościny, dlatego postanowiłam was o to zapytać. Jeżeli macie jakieś obiekcje...

Gina przeraziła się własną podłością. Przed chwilą rozpaczała, że babka zostanie sama, a teraz czuła palącą zazdrość, że ta piękna inteligentna dziewczyna zajmie jej miejsce w sercu księżnej. A ponieważ Zia faktycznie była inteligentna, z łatwością odczytała myśli Giny.

- Wiem, jak bardzo kochacie księżną - oznajmiła cicho. - I jak bardzo ona was kocha. Jeżeli moja obecność miałaby wam sprawić ból, zrezygnuję z Kravisa i więcej mnie nie zobaczycie. - Oczy się jej zaszklily.

W tym momencie wątpliwości Giny znikły. Znikła też zazdrość. Zostało jedynie poczucie wdzięczności. Wyciągnęła rękę i uściśniła dłoń Zii.

- To cudownie, że babcia będzie miała towarzystwo.

Zgodnie z obietnicą Nicole Tremayne wyprawiła Ginie i Jackowi wspaniałe wesele.

W czerwcowy wieczór tysiące białych światełek ozdobiły drzewka ustawione na tarasie, z którego rozciągał się widok na East River. Tysiące innych ozdobił biały tiul fantazyjnie zawieszony nad przejściem łączącym salę z niedużym podwyższeniem.

Narzeczeni zaprosili niewielu gości, to znaczy niewielu w porównaniu z setkami, które zwykle przychodziły na imprezy TTG. Przygotowano dla nich osiem rzędów przystrojonych na biało krzeseł. Wśród gości byli współpracownicy Giny, Jerome z żoną i oczywiście Maria, która została ulokowana w pierwszym rzędzie. Obok niej siedział Dominic, z którego oka zeszła już opuchlizna.

Miejsca po drugiej stronie przejścia zajmowali goście Jacka: jego najbliższa rodzina, przyjaciele i współpracownicy. Oczywiście wśród najbliższych był Sekretarz Stanu, ambasador amerykański przy ONZ i wicegubernator Wirginii.

- Gotowa? - spytała Kallie.

Gina wyjrzała przez szparę w zasłonach, sprawdzając, czy wszyscy są tam, gdzie powinni. Jack ze swoimi друзami, Devem i Dale'em, stał na podwyższeniu pod ukwieconym łukiem. Na widok Dale'a Gina lekko się skrzywiła. Cóż, może spróbuje naprawić ich relacje.

Puściwszy zasłonę, uśmiechnęła się do towarzyszących jej kobiet: babki, która w błękitnych jedwabkach i koronkach wyglądała niezwykle dostojnie, oraz Zii i Sary, którym pozwoliła się ubrać wedle własnych upodobań. Zia kupiła w butik przy Piątej Alei obcisłą złotą suknię z dekoltem na plecach sięgającym talii. Włosy upięła luźno na czubku głowy. Sara z kolei włożyła suknię od Balenciagi w ulubionym przez siebie stylu retro, w kolorze szmaragdu w pierścionku, który dostała od Deva.

Giny pierścionek był bardziej tradycyjny, ale blask brylantów nie mógł się równać z blaskiem jej oczu.

- Gotowa - odparła. Miała wrażenie, że Sara z babką odetchnęły z ulgą.

Ruszyła za drużnami oparta na ramieniu księżnej. Wprost nie mogła uwierzyć, ile się wydarzyło w tak krótkim czasie. Zaledwie dwa miesiące temu księżna prowadziła do ołtarza Sarę. Dwa i pół miesiąca temu ona, Gina, stwierdziła, że jest w ciąży, i jej świat zawirował. Dziś jej świat przepelniało szczęście i harmonia.

- Najdroższa Eugenio - rzekła babka, kiedy doszły do podwyższenia. - Jestem z ciebie taka dumna.

Nie rozplącę się, powtarzała w duchu Gina. Jack z uśmiechem przejął ją od księżnej. Pochyliwszy się, pocałował Charlotte w policzek. Ta szepnęła mu coś do ucha. Pewnie, pomyślała Gina, to samo co Devowi: że jeśli skrzywdzi jej wnuczkę, będzie cierpiał katusze do końca życia.

Jack skinął głową, po czym utkwil spojrzenie w Ginie, w jej promiennym uśmiechu, niebieskich oczach.

Z powodu nawału zajęć o mało nie przegapili kolejnej wizyty u lekarza. Wczoraj po badaniu usg okazało się, że zostaną rodzicami bliźniaków. Wynik badania Jack miał przy sobie, w kieszeni na sercu.

Najpierw jednak musiał włożyć obrączkę na palec Giny. Wciągnąwszy ją na podwyższenie, wydał polecenie sędziemu, który był jego kolegą ze studiów.

- Zaczynamy!

TLR

EPILOG

„Jakiż to był ekscytujący tydzień! Moja kochana Eugenia wreszcie przyznała się do czegoś, o czym ja wiedziałam od jej powrotu ze Szwajcarii, mianowicie że kocha ojca swoich dzieci. Tak, dzieci! Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wezmę je w ramiona.

No i Sara, piękna Sara. Moje serce się raduje, kiedy widzę ją tak szczęśliwą. Myślę, że ona i Dev też wkrótce powiększą rodzinę.

Pustkę, jaka powstała w moim życiu, wypełniło dwoje innych młodych ludzi: cudowne rodzeństwo. Dominic za kilka dni wraca na Węgry. Namawia mnie, abym odwiedziła dawną ojczyznę. Muszę się nad tym zastanowić, a na razie będę wspierać Anastazję, która rozpoczyna trudną rezydenturę.

Kto by pomyślał, że jesień mojego życia będzie obfitować w tyle wrażeń?".

Z pamiętnika Charlotte,
Wielkiej Księżnej Karlenburgha

TLR

Nazwa pliku: MXerline LXovelace - PXRzygodni kXochankowie
Katalog: C:\Users\Iwona\Documents
Szablon: C:\Users\Iwona\AppData\Roaming\Microsoft\Szablony\Normal.dotm
Tytuł:
Temat:
Autor: Iwona
Słowa kluczowe:
Komentarze:
Data utworzenia: 2015-05-09 09:35:00
Numer edycji: 7
Ostatnio zapisany: 2015-05-10 06:39:00
Ostatnio zapisany przez: Smile Elona
Całkowity czas edycji: 70 minut
Ostatnio drukowany: 2015-05-10 06:39:00
Po ostatnim całkowitym wydruku
Liczba stron: 82
Liczba wyrazów: 28 161 (około)
Liczba znaków: 168 966 (około)

TLR